



PO JE DVA  
JÓZEF KORZELI

1481  
1914. W. 27

JÓZEF KORZENIOWSKI

511-7

414  
50-14

495-9  
92-2

609-30

# POJEDYNEK

+ jedno  
ten drugi



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

6

*[Handwritten scribbles in purple ink]*

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0104276



253091

W-122/2000

17841

P R Z E D M O W A.

Z pośród wielkiej trójcy powieściopisarzy, którzy w połowie wieku XIX naszą literaturę powieściową postawili na wyznach takiejże literatury w Europie, a którymi są: Kraszewski, Kaczkowski, Korzeniowski — ten ostatni najwięcej ma cech współczesnych. Kraszewski i Kaczkowski dali nam historyczne obrazy o szeroko namalowanym tle, ale ich powieści obyczajowe odbiegają daleko od wymagań, stawianych dzisiaj utworom tego rodzaju. Korzeniowski wzamian jest największym realistą pomiędzy nimi, najwierniej odtwarza życie i ludzi żywych, pulsujących krwią, a nie szablonu lub ideje ucieleśnione. I dlatego pokolenie, kształcone na wzorach wielkich realistów i pozytywistów okresu następnego, nie czuje się obco, przebywając wśród bohaterów powieści Korzeniowskiego. Korzeniowski nie lubuje się w dramatycznych perypetjach, w tragicznych zawikłaniach, w konfliktach wstrząsających. Cecha jego talentu jest umiar. Bohaterzy jego są to ludzie naogół dość przeciętni, z tego gatunku, który często spotyka się w życiu codziennym. Przeżycia ich, opowiedziane zajmująco, często z pogodnym uśmiechem, a czasem z nieporównanym humorem, są zwykłymi ludzkimi kolejami, nie wkraczającymi ani w dziedzinę sensacji, ani tragedji. Niektórzy krytycy zarzucali Korzeniowskiemu szarość w wybieraniu tematów i typów, lecz czyż życie powszednie nie bywa najczęściej — z wyjątkiem wielkich historycznych okresów — szare? i czy realisci z krwi

10,-

*i kości, jak Stendhal, a po nim Flaubert i Maupassant, nie doprowadzili do mistrzostwa odtwarzanie w powieściach życia codziennego?*

*Korzeniowski wprowadza do powieści — może pierwszy — przemile typy kobiece, o silnej indywidualności i woli, a zarazem pełne uroku. Pierwowzór takich typów to Klara ze „Słubów panińskich“ Fredry. Przewija się często w komedjach i powieściach Korzeniowskiego w rozmaitych odmianach. Figlarna, zalotna i przekorna, rozwija niezem niezwalczoną energię i wdzięczną przebiegłość, gdy chodzi o zdobycie szczęścia.*

*W krótkich opowieściach Korzeniowskiego widzimy pierwowzór polskiej noweli, który to rodzaj pod mistrzowskim piórem Sienkiewicza dał arcydzieła, cacka kunsztowne i perły literatury polskiej. Warto je choćby dlatego przypomnieć dzisiejszemu pokoleniu. Ciekawą jest rzeczą śledzenie ewolucji i dróg rozwoju literackich rodzajów. Naogół pożytecznym jest sięganie do skarbcza literatury naszej i wydobywanie zeń rzeczy, niesprawiedliwie pyłem zapomnienia przypruszonych.*

REDAKCJA.

ludniać i weszło najprzód dwóch młodych ludzi, którymi się zajmiemy, nim ich przyjdzie więcej i różni się cokolwiek twarz restauratora, który, jak wiadomo, dla miłości powszechnego głosowania porzucił później nóż i kotlety, i zostawił zyskowny swój warsztat mniej patrijotycznemu współzawodnikowi.

Obaj ci młodzi ludzie byli we frakach, w białych chustkach i białych rękawiczkach. Oczywiście więc szli także na bal, ale czy to dla pogadania, czy dla posilenia się półmiskiem lepszym może, a zawsze tańszym, niż był na górze w foyer teatru, wstąpili tu, i kazawszy sobie podać dwie dobre porcje, przy ustronnym stolicku usiedli. Zdawali się być jednego wieku, a ten, który się poważniejszym okazywał i kolegę traktował, nie miał pewnie więcej, jak lat dwadzieścia cztery do dwudziestu pięciu. Był to mężczyzna słuszny, silnie zbudowany, ciemny blondyn, rysów pełnych szlachetności, powagi i jakiegoś melancholicznego wyrazu. Wyraz ten jednak nie odbierał męskości i energii ani jego ułożeniu, ani głosowi, ani wejrzeniu. w którym widać było zamyślenie, ale nie ospałość i miękkość. W ogóle był to młodzieniec dziwnie piękny, a czoło jego białe, szerokie i lekko zmarszczone okazywało, że troska jakaś głębsza opasywała jego serce.

Drugi, niższy, żywszy i bardzo przystojny brunet, miał długie włosy, wąsy, i widocznie zakrawał na jakiegoś artystę, muzyka lub malarza. Rysy jego twarzy nie odznaczały go żadnym wyrazistym piętnem; ale oko żywe i bystre spojrzenie okazywały rozum i dowcip, a uśmiech szczery i ujmujący poczciwe i przyjacielskie serce. Powiedzmy bez ogródki, kto byli ci młodzieńcy.

Pierwszy z nich nazywał się Julian Sulejewski i był synem znacznego i poważanego urzędnika. Ojciec jego, który z pod niskiej i nieherbowej wyszedł strze-

chy, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zdolnością, niezmordowaną pracą, ścisłym i nieskazitelnym pełnieniem swych obowiązków, przyszedł do znaczenia i dobrej pensji, której rozumne użycie, przy pomocy dość znacznego posagu żony, pozwoliło mu dwojgu dzieciom, to jest, temu synowi Julianowi i córce Antoninie, dać wychowanie bardzo staranne i mogące im zapewnić dalszy na świecie kierunek. Kochał on te dzieci nad życie; ale, że to był człowiek równie surowy dla siebie, jak i dla wszystkich, co go otaczali, wychował je w takiej pokorze, wpoił w nie taką cześć dla siebie i dla matki, że równie dla młodego Juliana, jak i dla Antosi wyraz ten: rodzice, zamykał w sobie pojęcie czegoś tak świętego, co się tylko ową pobożną miłością, jaką Rzymianie przez słowo: *pietas* oznaczali, uczcić i ukochać dawało.

To nieograniczone przywiązanie, jakie Julian miał dla dawców dni swoich, które w miarę lat i rozwijania się władz umysłowych w nim rosło, a wzmagano się coraz głębszym przekonaniem, że równie, ojciec jak i matka, swem życiem, swemi zasadami, każdą czynnością i każdym słowem, zasłużyliby na cześć jego, gdyby nawet zupełnie dla nich był obcym, przywiązało go niezmiernie do domu i wcieliło nieodłącznie w to kółko familijne, do którego należał. Chociaż więc przestał być dzieckiem, chociaż wchodził w lata, i z natury ognisty, silny duchem, z bujną imaginacją, nieraz w czarujących kolorach malował sobie życie i jego uciechy, nie starał się jednak złudnych tych obrazów sprawdzać, nie szukał pokarmu dla gorącego serca, ani pola dla siły swego ducha. Skromny i dziewiczych obyczajów młodzieniec o tem tylko myślał, aby ojciec się nie zmartwił jakimkolwiek jego krokiem, lub objawieniem jakiego popędu; aby matka się nie zatrwożyła o jego zdrowie i spokój jego myśli. Wszystkie więc swe uciechy skupił w domu, cały swój

ywot rozłożył, że tak powiem, przed okiem rodziców, tulił się pod ich skrzydło, jakby nie miał sił własnych i ciągle jeszcze opieki i kierunku we wszystkim potrzebował.

To dobrowolne i przez miłość natchnięte poddanie się, to zaparcie się niejako własnych sił i nieużywanie ich w życiu i jego ustawicznym ruchu, jakkolwiek go nie kosztowały, były jednak zawsze tajemną walką, która mu dała przedwczesną powagę i wybiła się na licu jego jakimś melancholicznym wyrazem. Że jednak wielkie te siły, które Bóg złożył w głowie i sercu jego, nie mogły zupełnie zostać bezczynnymi, nie używając ich tedy w życiu, dał im działać na papierze, i w wolnych chwilach oddawał się poezji i tworzył sobie świat i ludzi, których wyprowadzał chętnie z tych granic, jakie sobie sam zakreslił. Aż przyszło niespodzianie stanowcze zdarzenie, które go zmusiło do rozwinięcia własnych skrzydeł. Wtedy to moc jego uczuć i energii charakteru objawiły się tem potężniej, im dłużej je tamował w sobie i poddaniem się zupełnem woli rodzicielskiej ze czcią i miłością w piersiach swych potłumiał.

Drugi, Jan Zarzycki, był to uczciwy, rozumny, ubogi, ale mimo to zawsze wesoły i dobrej myśli malarz, któremu częściej zabrakło złotówki niż konceptu, który wyuczysz się nieźle rysować i poznawszy się w szkole Kokulara z farbami, dawał lekcje rysunków po pensjach i w domach prywatnych, malował portreciki panienek w niebieskich sukienkach, matek w koronkach i czepkach, ojców we frakach z jasnymi guzikami, kopjował dobrze i wiernie, co mu się zdarzyło, i tym sposobem jako tako utrzymywał się sam i wychowywał przy sobie siostrzyczkę swą Cesię, dziewczynkę cudnie piękną, mającą dopiero trzynaście lat, ale w której głowie i sercu było ich daleko więcej. Obaj ci młodzi ludzie poznali się i poprzyjaźnili

w gimnazjum Warszawskiem, które obaj z pożytkiem i chlubą skończyli; a choć jeden wiedziony naturalnym popędem, sierota i bez żadnej protekcji, udał się do szkoły Kokulara, a drugi, zostawszy pod opieką ojca, za jego wpływem pomieszczony był w biurze, przyjaźń ich nie rozerwała się wcale, widywali się prawie codziennie, odwiedzali się wzajemnie i dzielili się po bratersku każdą myślą, każdym smutkiem, każdą uciechą, jaką w życiu swem, niezmiernie prostem i jednostajnym, obaj spotykali.

Skoro się usadowili i malarz poprawił artystycznie swe długie i krucze włosy, rzekł:

— Coś tu pustki dziś u Marego.

— Tem prędzej dostaniesz kotlety — odpowiedział Juljan, którego czoło zamysłone nie rozmarzczyło się i usta się nie uśmiechnęły.

— A ty nie będziesz jadł?

— Jak dadzą, nie odrucę — mówił Juljan — ale tak wielkiego głodu nie czuję, jaki ty okazałeś, żeś aż biedną Cesię przyprowadził do łez. Jak gdyby ona temu winna, że ci nie miała co dać.

— Więc to jej winienem — odpowiedział malarz, śmiejąc się — że zamiast suchego chleba i kawałka szynki, o czem siostrzyczka moja zapomniała, dostanę porcję wybornych kotletów? Bardzom jej za to wdzięczny, bo mi się djabelnie jeść chce. Obiad dziś miałem mizerny, gdyż kasa moja z suchotami, a do rana daleko. Zwykle o tej godzinie już śpię; a kto śpi, ten nietylko nie grzeszy, ale i głodu nie czuje. A choć mu się śnią cyganie, ale z cyganami łatwiejsza sprawa, niż z tym tyranem na jawie, którego ani uprosić, ani mu wyperswadować nie można, aby nie ścisnął żołądka biedaka wtedy, kiedy ten nie ma grosza przy duszy.

Juljan nie rozmarzczył czoła i nie uśmiechnął się, a Jan dodał:

— Ale ty nie słuchasz i nie uważasz, że ja staram się być dowcipnym.

— I owszem, i owszem, bądź dowcipnym — odpowiedział Juljan, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Lubię widzieć, żeś w dobrym humorze, zwłaszcza wtedy, kiedy, jak powiedziałeś, kasa twoja z suchotami. To dowodzi charakteru. Nie sztuka być wesołym, kiedy kto ma pełne kieszenie.

Malarz popatrzył na niego, pokiwał głową, i po niej jakim czasie serjo zapytał:

— Czy się gniewasz na mnie?

— A toż za co? — mówił dalej Juljan, podając mu rękę — czy za to, żeś biedne dziecię przyprowadził do płaczu? Byłeś głodny, a zatem jako prawdziwy szlachcic polski byłeś zły, i spędziłeś gniew na swojej małej gosposi, która przymówkę twą więcej uczuła, niż to było warto, może dlatego, że się to działo przy mnie. Ale ja wiem o tem dobrze, że ja kochasz i jutro przeprosisz.

— Jakiego ona ma w tobie protektora! — rzekł Jan z nieznacznym uśmiechem.

— Cóż to dziwnego — odpowiedział Juljan, lekko czerwieniąc się — że proteguję twoją siostrę, kiedyś niesprawiedliwy? Tybyś mnie może złażał na dobre, gdybym chciał przykrość zrobić Antosi.

Tu znowu malarz się zaczerwienił, a Juljan dodał:

— Ale ja w podobnych razach jestem wyrozumialszy i mój żołądek, pamiętając o tem, że miałem dziada, który był ubogim zagrodnikiem, łatwiej sobie daje wyperswadować głód, do którego natura go stworzyła.

— Daj-no pokój — rzekł Jan, oglądając się na pustą salę — co po szlachectwie, kiedy czasem nie ma grosza przy tej szlacheckiej duszy? Wolałbym ja mieć takiego ojca, jak twój, którego wszyscy szanują, choć się pod wieśniaczą urodził strzechą, i któ-

ry rozumem i zasługą doszedł do tego, że ci na niczem nie zbywa i nie potrzebujesz myśleć o jutrze.

Juljan westchnął i czoło jego jeszcze bardziej się zasepiło. W tej chwili garson przyniósł dwa talerze, kurzące się i wonne, i postawił je przed jednym i drugim.

Artysta wziął się do widelca i noża i sprzątał z apetytem smaczne kawałki, zajadając je chlebem, który łapczywie kąsał, pokazując przytem białe i zdrowe zęby; a Juljan oparł głowę na rękę i patrzył na swój talerz, jakby go nie widział i jakby dobrze przygotowane jedzenie wcale jego powonienia nie drażniło.

— Nie jesz — rzekł Jan, patrząc badającym wzrokiem na kolegę — ostygnie ci. — Juljan potarł czoło i zaczął zwolna krajać kotlet, a Jan mówił dalej: — Mówiłeś, że się na mnie nie gniewasz, a tymczasem pokazuje się, że to nie prawda.

— A to jak? — zapytał Juljan.

— Masz jakieś sekreta przedemną — mówił Jan prędko i wlepiając w jego twarz bystre, czarne swe oko. — Uważam, że ci coś jest, że coś ciężkiego leży ci na sercu. Czoło twe zachmurzone, oczy patrzą gdzieś daleko; westchnąłeś nawet niedawno, czegoś może sam nie uważał, ale ja to słyszałem, ja wyczytuję w twojej twarzy, w tem co mówisz i co robisz, że jakiś smutek uciska cię, że jakieś niepokojące myśli krążą po twojej głowie. A jednak milczysz? Czy to dobrze? — dodał ze wzruszeniem i odsuwając od siebie talerz z potrawą, na którą tak niecierpliwie oczekiwał.

— Mój pocziwy Jasiu! — rzekł Juljan, ściskając jego rękę; a potem przysunawszy przed niego jego talerz, dodał z wymuszonym uśmiechem — kończ, kończ, bo widzę, żeś jeszcze głodny, i wybij sobie z głowy, że mam jakiś rzeczywisty smutek, a najbardziej to, że ukrywałbym go przed tobą, gdybym go

przyczyna, tem bardziej, że to nie jest stan mój normalny, ale napadł mnie od kilku, a może od kilkudziesięciu dni, tak, że nie zdołam sobie zdać sprawy, kiedy mianowicie.

— Możeś co czytał — mówił Jan, chcąc go naprowadzić na drogę.

— Com czytał? — odpowiedział Juljan przypominając. — Tak, w rzeczy samej, czytałem niedawno Eschylesa. Jego posępne obrazy przeniknęły mnie; potężny wyraz jego olbrzymich postaci przejął mnie nieraz mimowolnym drżeniem; przedstawienie zmysłowe głębokich pojęć o sile i niepokoju ducha ludzkiego, sięgającego za tem, co mu nie dano osiągnąć w Prometeuszu, przeniknęło mnie jakimś strachem, którego wyrazić nie zdołam; ale nadewszystko niezatarte wrażenie zrobił na mnie biedny Orest, narzędzie ciemnego i nieubłaganego przeznaczenia, ofiara furji za to, że dopełnił powinności syna i pomścił się krzywdy ojca. Ach! to przeznaczenie! — dodał, pocierając ręką czoło — jest to myśl niechrześcijańska, przeciwna wszystkim naukom naszej wiary, jako niszcząca sprawiedliwość Bożą i wszelką nagrodę i karę w przyszłym życiu; a jednak, dlaczegoż niewidomą jakąś nitką trzyma się naszego serca, i czasem w bezsensownych nocach staje przedemną i zdaje się mówić do mnie: — pójdziesz tam, gdzie nie chcesz, zrobisz to, o czem nie myślisz, złamiesz wszystkie swoje przekonania i będziesz narzędziem wielkiej boleści, bo ja tak chcę, bo tak być musi.

— Otóż to jest porządna doza przywidzenia! — zawołał Jan, zaczesując palcami swe włosy. — Nie znam ja Eschylesa, ale musi to być potężny malarz, kiedy jego obrazy tak wpiły się w twoją myśl, że połamały wszystkie zasady, jakie ci dało wychowanie, i tę wiarę, jaką zaszczepili w sercu twem rodzice. Nie przeczę ja, że nieraz odwołujemy się do przeznacze-



nia, że nawet postęпки nierozsądne i zgubne, do których uniosły nas głupstwo lub namiętność, zwalamy na przeznaczenie. Zapewne, i dla nas przeznaczenie jest, ale naszym przeznaczeniem jest wola Boska, którą kieruje najwyższa Miłość, nie zaś jakiś wyrok wydany zaocznie, który niewinnego skazuje na spełnienie zbrodni, o jakiej nie myśli i której popełnić nie chce. Starożytni nie mieli pojęcia ani takiej woli, ani takiej miłości. Czuli oni, że jest coś, co ludzkimi losami rządzi, a nie mogąc podnieść się do tego, do czego ród ludzki nigdyby się był nie podniósł sam, bez zstąpienia Boga na ziemię, utworzyli sobie jakąś potęgę ślepa i nieubłagana, której podobno nawet bogów swych poddali. Możesz-że ty stosować to do siebie? Admiruj sobie geniusz poety, ale pamiętaj o tem, czego cię matka nauczyła, gdy ręce twe składała do pacierza, i że codzień powtarzasz: Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi!

— To też to jest moja ucieczka i tarcza, którą się zasłaniam — odpowiedział Julian — a jednak nie mogę się odjąć tej myśli, która, jak dobrze się wyraziłeś, wpiła się w moją głowę. Każda okoliczność budzi ją we mnie i coraz głębiej zasuwa, tak, że mi czasem ani perswazje rozumu, ani pacierz nie pomagają. Niedawno przechodziłem przez ogród Krasińskich na Nalewki. Gdy wyszedł z bramy, spotkałem pogrzeb, ale tak ubogi, jak tylko możesz sobie wystawić. Na wozie leżała czarna trumna, przed nią szedł jeden tylko ksiądz, za trumną stary człowiek dość porządnie ubrany, z odkrytą siwą głową, z bladą twarzą, mającą na sobie piętno takiej boleści, że już nawet we łzach ulgi znaleźć nie mógł. Przy nim szła panienka w żałobie, po której twarzy łzy płynęły, a ręce złamane jakby zakłęśły w tym konwulsyjnym znaku żalu i rozpacz. Mały orszak pieszych biedaków im towarzyszył zdaleka. Zapytałem, kogo to prowadzi? — Ach! ko-

chany panie — odpowiedziała mi jakaś prosta kobieta — to młody człowiek, który był podporą biednego ojca, i utrzymywał tę siostrę, co ją pan przy tym starym panu widział. Miły Boże! ledwie dwadzieścia cztery lat miał i ni z tego ni z owego umarł. — Nie mogę ci wypowiedzieć, jak mnie ten widok przeniknął. Pobiegłem do domu z bijącym sercem, z pragnieniem niewysłowionem obaczenia co prędzej ojca, z tem wyobrażeniem, że zastanę jakieś nieszczęście, z tą trwożą, że albo ja jemu, albo on mnie wydartym zostanie. A wiesz, czem jest dla mnie mój ojciec, stąd weź miarę mojej obawy. I cóż myślisz, na twarzy mego ojca zastałem także wyraz smutku i niezwykłego mu zachmurzenia. Gdy zapytał, przelękniony co mu jest, tak jakoś dziwnie na mnie spojrzął i odwrócił się westchnawszy, że mi się wyraźnie zdało, iż i on to samo myślał, co ja wtedy; iż może w duchu szedł za moją trumną, tak jak wyobrażałem sobie, że mnie wiozą na Powązki, że widzę jego twarz bladą i siwe włosy, że słyszę jęk matki i Antosi, że ty płaczesz i tulisz do boku swego zalewającą się łzami Cesię.

— Oj, poeto, poeto! — rzekł Jan, ruszając ramionami.

— Ależ mój ojciec nie poeła — odpowiedział Julian żywiej. — To człowiek praktyczny, człowiek czynny, pewny siebie, bo każdy jego krok, każde słowo jest wyrazem jego sumienia, jako urzędnika, jako ojca, męża i obywatela. Dlaczegoż on, zawsze tak spokojny, zawsze z pogodnem czołem, zatwożył się właśnie wtedy, kiedy i ja? dlaczego to samo bezwątpienia pomyślał, co ja? dlaczegożem ja, mając już głowę nabitą obrazem jakiejś ciemnej przyszłości, właśnie wtedy spotkał tę przedwczesną trumnę, tego starca w bólu, tę dziewczynę we łzach? O! to są rzeczy niewytlómaczone, ale są i niepróżno. Każda myśl, mój kochany Jasiu, jest niedokonanym jeszcze czy-



nem, wszystko bowiem co się staje, musi być wprzód pomyślanem. Jeżeli więc nic się nie staje bez woli wyższej, bez celu i skutku, to i myśl żadna nie przychodzi człowiekowi bez tejże woli, bez celu i bez skutku. Mów więc sobie, co chcesz, śmieję się ze mnie, nazywaj mnie poetą i marzycielem, a ja uważam i uważać będę te myśli i obrazy, których pozbyć się nie mogę, za jakąś wskazówkę, za jakiś głos, którego słów i przestróg jeszcze dobrze nie rozumiem, ale czuję to, że w nich brzmi jakaś tęskna, smutna nuta, która mnie usposobiła tak, iż tego ukryć nie mogę, jakkolwiek nie chciałbym nikogo zasmucać.

Tę rozmowę mistyczno-filozoficzną przerwało wejście kilku młodych paniczów, z których dwóch miało na ręku *domina* i maski, a wszyscy ubrani byli z elegancją, i weszli z cygarami w ustach, śmiejąc się i hałasując. Gdy zasiedli przy największym stole i kazali sobie podać wykwintną wieczerzę i szampana, nasi dwaj przyjaciele umilkli, Juljan wsparł się na rękę, patrzył na rozwalającą się rozkosznie młodzież, a Jan wziął się do pokarmu, który mu właśnie garson przyniósł, i smakując wyborną jego przyprawę, starał się wybić sobie z głowy wrażenie, jakie na nim smutne przeczcucia kolegi i uparte w nich trwanie sprawiły. Młodzi ludzie śmieli się i baraszkowali wesoło o nowinach dziennych, o pannach na wydaniu, a raczej o ich posagach; o kawalerach, którym przyszła głupia myśl żenienia się, którzy zatem goniąc oczywiście ostatkami i w ciężkiej znajdując się konieczności, chwytają się tego desperackiego środka, jak tonący chwytają się brzytwy; mówili o nudach wieczorów, na które ich zapraszano, o nieznośnej pańszczyźnie tańcowania ze skromnemi panienkami, z którymi ni mowy ni rozmowy, z młodemi mężatkami, które sobie uroiły kochać tylko swych mężów, a nareszcie o Florci, o Jaguni, o *pas de deux*, a nawet *pas de trois* na tych rozkosz-

nych wieczorkach, które dopiero są zabawą całą gębą, godną młodzieży, która ma pokazać, że nie stary i spróchniały rozum, ale młoda siła i to światło, które raptem weszło w dwudziestoletnie głowy, zasługuje na uszanowanie i sprowadzi wiek złoty na ziemię.

— Słyszałeś — rzekł Juljan do Jana, gdy młodzież przy drugim stole zajęła się podaniem półmiskami i na chwilę umilkła. — Dziwne to naszych czasów usposobienie wzmagają się coraz, i mnie, wychowanego w takiej czci dla rodziców, w takim uszanowaniu dla każdej siwej głowy, boleśnie razi i głęboko zasmuca. I ja jestem młodym; i we mnie także wręcz czasem myśli, które mi się zdaje tak łatwo wprowadzić w życie i przerobić niemi społeczność; tak jednak przywykłem nietylko moją wolę i postępkę, ale nawet mój rozum i błyskające w nim pomysły poddawać woli i rozumowi starszych, że nie dowierzam sobie nigdy i każdą taką myśl poddaję rozeznaniu ojca. Ileż to razy przekonałem się, gdyby piękną napozór budowę moją rozebrali, gdy ją mój ojciec starym rozumem od fundamentów do dachu obejrzał, że to był zamek na lodzie, nie mogący mieć trwałości, nie mogący być dla nikogo użytecznym. A tymczasem widzę wszędzie zarozumienie, brak skromności, brak, nie mówię już uszanowania i czci, ale nawet szacunku i jakiegokolwiek względu na wiek i doświadczenie. W kwestiach społecznych, które dziś modnym słowem kwestjami socjalnemi nazwano, stary rozum ostrożny i nie tak chwyliwy, jak młode umysły, uznają ci atleci za próchno, co świeci a nie grzeje; w występujących u nas młodych krytykach objawia się jakaś pogarda dla starych i zasłużonych pisarzy; w towarzystwach starszy tułają się po kątach, młodzi popychają ich tyłem, przechodzą potrącając i nie zważając bynajmniej na siwą głowę, która ustąpić musi; na ulicy żaden młody biuralista, żaden student, żaden kupczyk nie usunie się

ani na pół cala przed starym i poważnym człowiekiem, który musi mu zostawić miejsce do przejścia z podniesioną głową, choćby sam w rysztoł miał wstąpić. To nas może daleko zaprowadzić, i kto wie, czy ta ogólna a ciężka chmura, która nad wszystkimi wisi, nie stąd urosła?

Jan zapalił cygaro, i zaspokoiłwszy głód, wygodniej sobie usiadł i słuchał. Juljan rzekł:

— Chcesz tu jeszcze posiedzieć?

— A pocóż mamy się śpieszyć? — odpowiadał malarz. — Na bal jeszcze dość czasu; dopiero się zjeżdżają. Przypatrzmy się tym panom i posłuchajmy ich; wszak i takie studjum przydać się może i mnie i tobie.

W tejże chwili drzwi się z trzaskiem otwały i wszedł młody, przystojny mężczyzna, którego mina i ruchy okazywały jakąś hardość i pewność siebie, jaką mają czasem u nas panicze, gdy wchodzą do kompanji, w której zdają się nie widzieć nikogo, coby lepiej był urodzonym, niż oni, coby był od nich bogatszym, a zatem coby miał więcej prawa do niesienia głowy góra i do odzywiania się głośniej, niż wszyscy. Wszedł on w kapeluszu, którego nie zdjął, aż wtedy, gdy usiadł; miał na sobie ładny płaszcz, podbity aksamitem, który pokrywał balowe ubranie i który rzucił na krzesło bliskie stołu. Oko jego było cokolwiek przy-mrużone, brwi zsunięte, wąs duży wisiał po obu stronach ust, które się z nieukontentowaniem i złym humorem zaciskały. W przechodzie spojrzął niedbale na dwóch przyjaciół, którzy w kącie przy oknie siedzieli, i poszedł prosto do większego stołu, gdzie go widać oczekiwano, i gdzie go poufałe spotkały przywitania.

— Jak się masz, Wiktorze?

— Czekamy cię obiema rękami. Gdzieżeś się tak długo zabałamucil?

Pan Wiktor nalał sobie szklanke szampana, wypił

duszką, odchylił zostawione widać dla siebie krzesło, postawił je gniewnie i wzięwszy z półmiska kottlet, ukroił, przytknął do ust i położywszy napowrót, uderzył mocno nożem o szklanke. Przyskoczył garson, a pan Wiktor oddając mu talerz, rzekł:

— Zimne, osłe! przynieś mi co gorącego!

— Cóż ci się stało? nie gadasz — zapytali koledzy.

— Zły jestem — odpowiedział młody człowiek, nalał sobie znowu wina i wypił.

— Któż to cię śmiało rozgniewać? — zapytał jeden.

— To mu niebardzo wieszczę, jeżeli to nie kobieta i nie starzec — rzekł drugi.

— Właśnie, że kobieta i starzec — odpowiedział Wiktor, pociągając wąsy. — Ale na nieszczęście, po jednej spodziewam się kilkakroć, a po drugim może mi się z miljon okroi, i to jedno zmusza mnie do tej niewoli, w jakiej mnie trzymają, i do znoszenia codzienej perory, która mnie niecierpliwi.

— Więc to ciocia i stryjaszek? mój biedny Wiktor! — rzekł jeden z kompanji.

— Nie możecie sobie wyobrazić, co to za klęska, ci bezdzietni krewni — zawołał pan Wiktor, bijąc z niecierpliwością w szklanke, aby mu podawano co kazał.

— Ach! prawda! — rzekł inny, krzywiąc się miłosiernie — a zwłaszcza tacy krewni, po których na głowę twoją spada miljon kilkakroć.

— Żartuj sobie zdrów — mówił dalej pan Wiktor — miljon kilkakroć jest zapewne coś...

— Aj! i dobre coś — zawołał inny, śmiejąc się — a zwłaszcza dla człowieka, który umie żyć i ma już przeszło dwakroć długów.

— Wy rzecz tę z jednej tylko strony widzicie —

odpowiedział pan Wiktor — lecz ile to kosztuje nadskakiwania, ile kazań, ile przymówek, i do jakiego doprowadza spodlenia i względem kogo? Względem starej dewotki, któraby chciała, żebym się co dwa tygodnie spowiadał, za takiego ma mnie grzesznika; względem starego nudziarza, któremu się zdaje, że żyje jeszcze w świętej pamięci epoce, w której każdą siwą głowę tak szanowano, jak my dziś szanujemy butelkę mchem obrosłą, i w której każdy ojciec miał prawo kazać rozciągnąć na kobiercu trzydziestoletniego syna i wlepić mu kilkadziesiąt batogów.

— Ohi ba! — zawołał któryś — już te czasy daleko. Przekonał się świat, że w próchnie nie ma żywotnych soków. Dziś epoka młodego pokolenia. Nie starym to już i zapleśniałym głowom wymyślić dźwignię, któraby poruszyła zastygłą ziemię. „Młodości! podaj mi skrzydła, a nad martwym wleczę światem!” — dodał, podnosząc głos z deklamacją i uderzając pełną szklaną o szklanę kolegów, wołał: — Niech żyje młodość! Pleśń dobra tylko na butelkach.

— Słusznie! słusznie — rzekł pan Wiktor i obracając się do garsona, dodał: — przynieś-no tu parę zapleśniałych butelek, z przeproszeniem mojej ciotki, co mnie gotowa wydziedziczyć, i kochanego stryjaska, który mi pogroził dziś, że napisze do ojca o mojem rozpustnem życiu, o złej kompanji, którą przenoszę nad towarzystwo ludzi dobrze wychowanych, i o tych Syrenach, dla których tracę zdrowie i majątek.

Koledzy zaśmieli się i ruszając ramionami, powtórzyli: — Rozpustne życie! złe kompanje! Syreny!

— Zapewne, że Syreny — dodał jeden — bo umieją nas przywabić, rozumieją każde słowo i każdy gest pojmują, nie tak jak te lalki, nad którymi mamy czuwać, jak gdyby były szklane, które tylko umieją odpowiedzieć: — *Oui, monsieur! non monsieur!* — przy których trzeba stać we fraku i w białych rękaw-

wiczkach, i końcem tylko palców dotykać ich rączek. Upadam do nóg! ja wolę bez fraka leżeć na szezlongu z cygarem w gębie, i mojej Syrenie, która siedzi przy mnie z kieliszkiem szampana w ręku, pleść, co mi ślina do ust przyniesie.

— Więc ciocia — zapytał drugi — woła także na skandal, każe ci suszyć, pokutować i grozi wydziedziczeniem?

— Żeby to tylko skończyło się na groźbie. Ale może być coś gorszego. Wyobraźcie sobie, nie byłem u niej już z tydzień; dziś odebrałem bilecik, którym wezwała mnie, abym się koniecznie z nią widział. Poszedłem tedy i żałuję. Złajala mnie odrazu, jak zaka. Tłómaczyłem jej, że nie pojmuje ani dzisiejszego wieku, ani jego dążenia. — Głupis waćpan — rzekła — ze swoim wiekiem i z jego dążeniem. Wiek waćpana, jest to wiek zepsucia i dąży do zgnilizny. Waćpan naucz się katechizmu, mów codzień pacierz, nie zaciągaj długów na utrzymywanie i strojenie łajdaczek, rób co użytecznego, gospodaruj, albo służ krajowi, szanuj starszych i słuchaj co ci mówią, to to będzie dążenie, które ucieszy i waćpana krewnych i Panu Bogu się spodoba.

— I cóż ty, zaśmiałeś się w oczy staruszce? — zapytał jeden.

— Uśmiechnąłem się i miałem już dobrą odpowiedź na języku; ale ona zerwała się z krzesła i krzyknęła: — Co to? waćpan uśmiechasz się na to, co mówię! Idź-że waćpan sobie precz ode mnie i pożegnaj się z tem, co dla waćpana przeznaczyłam. Moja praca nie pójdzie na wzbogacenie żydów, którym się zadłużasz, na karty i pijatyki dla waćpana kolegów, którzy cię wiodą do zguby, i na aksamity dla tych hultajek, którym się nie chce szyć i cerować skarpetek, i które wraz z sobą ciągną waćpana do piekła.

— Czy wiesz — zawołał któryś śmiejąc się — że w tem wszystkim najlepsze jest to piekło, do którego cię Florcia ciągnie. Muszę jej to powiedzieć.

— Zapewne, byłoby to zabawne — rzekł marszcząc się pan Wiktor — ale stara dodała: — Waćpan myślałeś, że tylko trzykroć kilkadziesiąt tysięcy dla waćpana przeznaczyłam i dlatego nie dbałeś o mnie i głuchym byłeś na moje przestrogi. Otóż jesteś waćpan w błędzie. Przeznaczyłam dla waćpana wszystko, co mam; a mam przeszło sześćkroć. I teraz testament ten niszcze, kiedy waćpan uśmiechasz się i żartujesz sobie i z mego wieku i z mego przywiązania; — i wyobraźcie sobie, otworzyła biurko, wyjęła testament...

— I rozdarła? — zapytał jeden.

— I rozdarła; — odpowiedział pan Wiktor, nalawszy sobie szklankę starego wina i wychyliwszy ją duszkiem.

— Fe! do diabła! Sześćkroć, to warte grzechu — rzekł inny.

— Zapewne, że warte — odpowiedział pan Wiktor. — To też dopuściłem się go: upokorzyłem się przed starą, sześćdziesiąt siedem lat mającą kobietą, której prawa nasze nie wiedzieć naco zostawiają jeszcze rozporządzenie majątkiem, co wcale być nie powinno.

— I co wymaga reformy — mówił drugi, któremu wąsik tylko co się wysypał. — Ogromne sumy pleśniąją w rękach starców, leżą bez użytku w skrzyniach tych, którzy doszedłszy do pewnego wieku, np. do lat pięćdziesięciu, powinnyby sobie mieć wyznaczone alimenty, kominek, ciepły szlafrok i pantofle, a ustąpić tej dźwigni, jaką jest pieniądz, młodemu z głową, w której są idee, jakie czas wyrobił, i z siłami, które właśnie zdolne są do działania i użycia.

— Takby być powinno — odpowiedział pan Wi-

ktor — a tymczasem tak nie jest, co też oburza i gniewa. A, tem bardziej, kiedy głowa pełna takich idei, o jakich mówisz, zgina się napróżno i bez skutku.

— Jakto? — zawołał inny, wcale zgorszony — więc stara nie udobruchała się? Proszę!

— Upokorzyłem się, powiadam; zacząłem przeproszać, przyrzekałem poprawę, i cóż myślicie? nie tylko się nie zreflektowała, ale drąc do reszty papier, który mi zapewniał jej spadek, dodała: — Idź waćpan sobie precz, mówiłam. Nie masz u mnie wiary i nie zasługujesz na moją łaskę. Wybuduję i uposażę za te pieniądze dom i przytułek dla ludzi starych, aby nie przychodzili na łaskę młodzieży, która dziś wiekiem poniewiera i siwych włosów nie szanuje. I stryja waćpana nakłonię, aby to samo zrobił. On zna waćpana na wylot, nie bój się, i nieraz już mówiliśmy o tem z bólem i wstydem, który waćpan może w pa-skudnych kompanjach swoich wyśmiejesz, ale który będzie cię drogo kosztował, bo ani ja swoich funduszów, ani on swego miljona, nie mamy na rozpustę i obrazę Pana Boga. Bądź waćpan zdrow i nie przychodź tu do mnie więcej. Do ojca zaś waćpana napiszę o wszystkim i podziękuję mu, że tak ładnie wychował dziecko mojej poczciwej siostry. To powiedziawszy, poszła i zostawiła mnie jak dudka. I wy pytacie się, dlaczego zły i dlaczego milczał, gdy tu przyszedłem! Ale już czas, pójdźmy — dodał powstając, i nalawszy jeszcze jedną szklankę wina, wypił. — Florcia i Leontynka czekają mię w maskach i dominach. Poprowadzę je na bal, i mszcząc się za to upokorzenie, którego dziś doznałem, pierwszego starego durnia, którego spotkam na sali, przywitam tak, że popamięta. Niech idzie do mojego stryja i do mojej ciotki i niech razem żalą się i płaczą nad młodem pokoleniem, które nie bije czołem przesądom, które ceni jabłoń, okrytą liśćmi i wydającą owoce, ale nie

szuka cienia i posiłku pod drzewem zeschłym, z którego ani pożytku, ani ozdoby.

— Bravo! Wiktoru! nawet poetycznie zakończyłeś — zawołali koledzy, dopijając reszty wina. — Jednakże bądź ostrożny, żebyś jakiego głupstwa nie zrobił, boś zły i pijany.

— Co mi tam! — zawołał pan Wiktor, rzuciwszy kilka półimperjałów na stół garsonowi, któremu kazał przygotować rachunek i podać mu go jutro. Potem nałożył kapelusz na głowę, narzucił na siebie płaszcz, i nie spojrzawszy nawet na siedzących w kącie dwóch młodych ludzi, wraz z całą kompanją swoją wyszedł.

— Cóż ty na to? — rzekł wówczas Jan powstawszy; ale widząc, że kolega jego siedzi z głową opartą na rękę, i tak pogrążony w myślach, że się zdawał za pytania jego nie słyszeć, położył rękę na jego ramieniu i dodał: — czyś zasnął, Julianie?

Juljan podniósł głowę, potarł ręką szerokie swe czoło i głęboko westchnawszy rzekł:

— Alboż to co słyszałem, mogło mnie usnąć? Wiesz mi, coś ciężkiego nad nami wisi, i ojcowie, którzy tak synów swych wychowują, odpowiedzą przed Bogiem, że tak źle powinności swojej dopełnili. Dziś w dwójnasób czczę mojego i błogosławię każde jego zmarszczenie, każde surowcze słowo, którem rozbijała myśl moją trzymał na wodzy. Ależ to jednak smutna, smutna rzecz! i tem smutniejsza, że nietylko w tej sferze, do której ci paniczce należą, ale i niżej i coraz niżej rozszerzają się takie same zasady, grasują takie wyobrażenia. Ale chodźmy! Stan mój tak przykry, że nie na bał, ale poszedłbym do domu, ukląkłbym i modliłbym się za siebie i za drugich: tylko że i mój ojciec tam będzie i chciałbym już być przy nim! — Te ostatnie słowa wymówił Juljan tak dziwnym głosem, iż Janowi zdało się, że głos ten wyszedł prosto z serca, które nagle zadrżało. Nie zrobił jednak żadnej

uwagi, ale wzięwszy prędko z rąk garsona rachunek za wieczkę, podał go koledze i rzekł:

— Zaprosiłeś mię, kochany Julianie, zapłać-że teraz za moje obżarstwo i roztargnienie Cesi, bo ja — dodał ciszej — jak cię kocham, mam tylko złotówkę w kieszeni. Pójdź! przejdziemy się jeszcze trochę.

Juljan zapłacił, i ze schyloną głową poszedł z wolna za idącym przed nim kolegą.

## II.

W salach reductowych już było pełno, a jednak coraz nowi goście tłoczyli się na schodach wyłożonych kobiercami, ozdobionych rzędem wazonów, w których najrzadsze rozwijały się kwiaty, jaśniejących od lamp i zwierciadeł, w których coraz nowa przeglądała się twarzyczka, przed któremi coraz nowa stawała maska, dla przekonania się, czy strój ma dosyć elegancji, czy utajenie zupełne, czy się czem nie zdradzi przed mężem, który pewnym był, że ma migrenę i jest w łóżku, lub przed kochankiem, urywającym się z jej kajdan i szukającym innej niewoli.

Pierwsza sala od wschodu, jak pamiętają ci, którzy ją widzieli przed przerobieniem, prowadziła do kolumn, odgradzających ją od głównej, daleko wyższej, mającej galerję dla widzów, ogromnej w swych rozmiarach, a jednak już pełnej i mężczyzn, po większej części w zwyczajnem ubraniu i bez masek, i kobiet, z których poważniejsze, jaśniejące bogatym strojem i drogiemi kamieniami, siedziały lub przechadzały się z odkrytą i wesołą twarzą; młodsze i żywsze, w różnobarwnych kostjumach różnych stref i narodowości, lub w pełnych elegancji dominach, w czarnych po większej części maseczkach, przez które piękne świeciły oczy, i z pod których piękniejsze jeszcze

śmiały się usta, snuły się zwieszono na ręku swych kawalerów, i rzucały tu i owdzie owe dowcipne: *znam cię*, lub: *jesteś bałamut*, czem zwykle maski warszawskie bawiących się na maskaradach tak mocno intrygują.

Pod środkowemi kolumnami, i właśnie w tem miejscu, gdzie było przejście z sali wchodowej do głównej, stał mężczyzna słusznego wzrostu, trochę przygarbiony przez lata i pracę, z siwą głową, z pogodnym i cokolwiek łysym czołem. Ubranie jego było bardzo przystojne, choć odpowiednie wiekowi i powadze, twarz dosyć blada, pełna wyrazu rozumu i uczciwości; na ustach nie było wprawdzie uśmiechu, ale i w oczach nie okazywało się to nieukontentowanie, jakie widzieć czasem można w ludziach starych, którzy już odwykli od uciech młodości i niepojmują szarów, jakim się ona oddaje. Stał on sobie spokojnie, sam jeden, oparty o kolumnę i patrzył niezupełnie obojętnie, chociaż i niezbyt ciekawie na snujące się po głównej sali tłumy, które jak fale na rzece przepływały przed jego okiem, coraz insze, a zawsze do siebie podobne. Obok niego po obu stronach i za nim mnóstwo było rozmaitych osób, a szczególnie młodych mężczyzn, patrzących ku drzwiom wchodowym i egzaminujących ciekawie te maski, które jeszcze przybływały.

Wtedy starzec ów uczył, że go ktoś mocno potracił. Obejrzał się więc, rzucając wzrok zadziwiony na prawo, i spostrzegł przed sobą wysokiego mężczyznę, w czarnem dominie, w czarnej masce i w kapeluszu na głowie. Mężczyzna ów prowadził pod rękę dwie maseczki, których oczy błyszczały przez otwory larw, zakrywających ich twarze, i na starego patrzyły. Tylko co chciał się usunąć, choć go o to dość niegrzecznie poproszono, gdy mężczyzna ów, obracając się wyraźnie ku niemu, rzekł:

— Czego stoisz na drodze? spać, stary durniu, a nie waleśać się po maskaradach! Precz mi stąd zaraz! — Te ostatnie słowa wymówił jakby umyślnie głośniejszy i poszedł prędko, mieszając się z tłumem. Towarzyszki jego głośno się zaśmiały, a obecni powtórzyli z oburzeniem: — Stary durniu! precz stąd! to już nadto! fe!

Stary człowiek, jak piorunem rażony, oparł się o kolumnę, krew uderzyła mu do głowy, w oczach się zaćmiło i cały ciężar tak niespodziewanej, tak niezasłużonej i tak publicznej obelgi przygniótł go i na chwilę przytomność odebrał. Wkrótce jednak podniósł głowę, spojrzął na obecnych, i choć żadnej znajomej nie dostrzegł twarzy, ale widział wyraźnie, że jedni patrzyli nań z politowaniem, inni kiwali głową, inni odwracali się z uśmiechem. Wtedy porwał się z miejsca, chciał się rzucić w tłum, dogonić napastnika, zderzyć mu z twarzy maskę, i ostatkiem sił, jakie mu wiek i tyloletnia praca zostawiły, pomścić się za tę krzywdę, która na siwą głowę jego jak kamień z dachu upadła. Ale zaledwie kilka zrobił kroków, szukając okiem, gdzie się ta bezczelna trójka podziała, gdy postrzegł przed sobą jakiś ruch niezwykły, tłumy zaczęły się rozstępować, ścisnąć, zatamowały zupełnie drogę, i w miejscu wolnem, które się zrobiło, pokazała się jakaś zabawna i bardzo oryginalna maska, której wszyscy przypatrywać się, i na którą z tyłu jeszcze napływający ciekawo gapić się zaczęli.

Trudno było w takim momencie, kiedy ścisnąć jak grobla jaka przeciał zupełnie drogę, przerzynać się naprzód, rozpychać zbitych w ciasną kolumnę i wszczynać burdę w obliczu najrozmaitszych, a między temi i dostojnych osób, które tam także były. Stał więc wraz z innemi biedny starzec, czuł że mu wstyd pali nieskażone dotąd niczem czoło i tak jawne shańbienie wyraźnemi na niem wypisuje się głoskami;

ale się nie ruszył, i pochyliwszy tylko głowę, czekał, aż będzie mógł przejść dalej i wynaleźć tego, co czy umyślnie, czy przez płochość i lekceważenie publicznego bezpieczeństwa, takim bólem serce jego napełnił. Kilka minut znajdował się on w takim położeniu, gdyż maska była przytem dowcipna, zaczęła wszystkich i wszyscy tem bardziej ścisnęli się i słuchali, co powie i jakim kogo uraczy conceptem. Łatwo sobie wyobrazić, ile myśli, ile obrazów smutnych i rozdzierających przesunęło się wtedy przez głowę starca. Przebiegł on w mgnieniu oka całe swe życie. Od początku, aż do tej chwili widział tylko usilną pracę, uczciwe chęci, wzrastające coraz mienie, szacunek wszystkich co go znali, szczęście domowe, miłość żony i cześć dzieci. Próżno się egzaminował, czy kogo nie obraził, czy kogo nie skrzywdził, czy jakim słowem lub czynem nie zasłużył na taki afront, który go spotkał. Ale sumienie nie czyniło mu żadnego wyrzutu, a pamięć nie dostarczyła obrazu żadnego nieprzyjaciela, któryby, nie śmiejąc jawnie wystąpić, skrycie i pod maską nienawiść mu swą okazał. Nie mógł więc dojść, ktoby mógł być ów mężczyzna, który go zelżył, ktoby mogły być owe kobiety, które się zaśmiały z krzywdy starca, tak niespodzianie uderzonego. Ale jakkolwiek czuł się niewinnym, uczuł także, że to jest kres jego powodzenia, że to fatalny moment, który złamie jego życie, że to ostra jakaś i niewidoma skała, o którą łódź jego zadrasnęła się tak, iż już jej nic nie naprawi, i że do tego biegu, który dotąd był tak spokojnym i bezpiecznym, niezdatną się stanie. Wtedy gniew, oburzenie i rozpacz owładnęły jego sercem. Bez względu na bezsilną starość chciał się przynajmniej zemścić nad tym, który go nad taką przepaścią postawił. Skoro więc przejście zrobiło się wolnem, czując w sobie jakby podwojone siły, puścił się naprzód, przeszedł salę, przejrzał wszystkie maski,

ale nigdzie tej haniebnej trójki dostrzec nie mógł. Zdawało mu się tylko, że wszyscy na niego patrzą, że każdy lituje się lub szydzi, że ktokolwiek na niego spojrzy, nachyla się do towarzysza lub towarzyszki i szepta, zapewne te same słowa, które zaległy w jego sercu i ciąglem i bolesnem powtarzały się echem. Gdy w takim stanie, ze zmienioną zupełnie twarzą, z rozciętem i rozerwanem całym pasmem dalszego życia szedł, chcąc wyjść z tej sali, gdzie mu się zdawało, że się wszystko koło niego jakimś szalonym wirum obraca, i zamierzał wrócić do domu, do którego zawsze z taką radością dążył, a z którego także widział jakby wygnany dawny spokój i dawne bezpieczeństwo, postrzegł nagle syna, który się niespokojnie oglądał, jakby go szukał, i pragnął jak najprędzej przy nim stanąć.

Ten widok przeraził go straszną myślą, która w głowie jego, jak błyskawica mignęła. Powiedzieć mu, co go spotkało? Oburzyć młode serce, przejęte dla niego taką czcią i miłością; zatruć życie młodzieńca, jeżeli krzywdziciela nie znajdzie, lub go narazić na śmierć, boby pewnie hańby ojcowskiej nie przeniósł i krzywdy jego nie darował, jeżeliby zdołał zedrzyć tę maskę, pod którą się napastnik ukrył, oto jest obraz, który nagle przed nim stanął. — Nie, nigdy! — pomyślał starzec, odwrócił się, poszedł prędko ku ścianie i na stojącej tam kanapce usiadł, aby go syn nie tak prędko znalazł i aby miał czas umocnić się duchem i utaić przed nim krzywdę, która, jak sobie wyobrażał, jawnie i czytelnie na twarzy jego leży.

W kwadrans dopiero Juljan, którego smutek, jak widzimy, był niedaremny, zbliżył się do ojca z jakimś niepokojem na twarzy, i spojrzawszy bystro na jego lice zmienione, na usta blade i drżące, na ten wyraz niepokoju i walki, które, mimo całego wysilenia mocnej duszy i rodzicielskiej miłości, całkiem ukryć się nie dały, zapytał:

— Co ci jest, ojcze? takiś okropnie bład.

— Nic, moje dziecko! — odpowiedział radca Sulejewski, spojrzawszy na piękną i melancholiczną twarz dorodnego młodzieńca, która mu się w tej chwili dziesięć razy droższą wydała. Potem powstając, z wymuszonym uśmiechem dodał: — Głowa mnie mocno zabolęła i od tej wrzawy i zaduchu niedobrze mi się zrobiło. Chciałbym już pójść do domu.

— To pójdzmy, kochany ojcze — rzekł Juljan.

— Zostań jeszcze i zabaw się — mówił ojciec, spojrzawszy znowu na syna, który śledził każde poruszenie jego twarzy — pójde sam. Nie jest mi tak źle, żebyś miał się o mnie niepokoić. Na świeżem powietrzu przyjdę zupełnie do siebie.

— Nie, nie, drogi ojcze! — odpowiedział młody człowiek — nie puszcę cię samego. A potem, niewesoło mi tu także, i gdybym był nie wiedział, że tu będziesz, nie przyszedłbym pewnie.

— Dlaczegoż to? — zapytał ojciec — czy ci się co stało?

— Nic zupełnie, kochany ojcze — odpowiedział prędko Juljan — ale jakiś niepokój mnie dręczy i czuję to, że przynajmniej dziś taka zabawa nie dla mnie jest zupełnie.

Stary odwrócił się, nieznacznie westchnął, zdało mu się, że rumieniec wstydu oblał jego oblicze; nie patrząc więc na syna, rzekł ciszej:

— To chodźmyż, kiedy i tobie tu niemiło.

I poszedł naprzód z pochyloną głową i z oczami utkwionymi ku ziemi, jakby nie śmiał patrzeć na ludzi, ten sam człowiek, który przez lat sześćdziesiąt śmiało podnosił czoło, na którym żadna nigdy nie pozostała plama, którego spokoju żadna myśl zdrożna, żaden czyn hańbiący nie zachmurzył i nie zaćmił. Syn szedł za nim niespokojny, nie spuszczający go z oczu, a ta troska niewytlómaczona, co go od niejakiemu czasu

gniotła, powiększyła się jeszcze i wybitniejszym na jego twarzy wyryła się piętnem.

O kilka kroków przed kolumnami, Juljan spotkał przyjaciela, i podając mu rękę, rzekł:

— Dobranoc ci, Janie! idę już do domu. Ojciec coś nie zdrow i dziwnie jakoś wygląda.

— Dobranoc. Przyjdiesz jutro?

— Przyjdę — odpowiedział Juljan i pośpieszył za ojcem, który zbliżywszy się do tego miejsca, gdzie go taka spotkała hańba, zadrżał, potarł ręką czoło, na które pot wystąpił, i obejrzawszy się za synem, oparł się na jego ramieniu, i chwiejąc się, poszedł.

Jan przypomniał sobie, że miał jeszcze coś przyjacielowi powiedzieć i zbliżył się także do kolumn, gdy go następująca dwóch stojących tam panów zatrzymała rozmowa:

— A to ten sam stary? — rzekł jeden.

— Ten sam — odpowiedział drugi z uśmiechem.

— I to zapewne jego syn? — mówił pierwszy.

— Musi być jego syn, bo i podobny trochę, i stary tak poufale na nim się opiera.

— Ależ strawnego żołądka obaj, wiesz — rzekł pierwszy.

— Ha! kazał im pójść precz i wychodzą — dodał drugi, śmiejąc się.

Jan, uderzony temi słowy, przystąpił do rozmawiających, i zapytał:

— Czy panowie mówicie o tym starcu i o tym młodym człowieku, którzy tylko co przeszli?

— O nich właśnie — rzekł pierwszy. — Czy pan ich znasz?

— Ten stary — odpowiedział Jan żywiej — jest to zacny urzędnik, którego szanuję; a ten młody, to jego syn, który jest moim przyjacielem i którego kocham. Dlatego darujcie mi panowie, że się zapytam, dlaczego pan powiedziałeś, że są strawnego żołądka



obaj, a pan dodałeś, że ktoś kazał im wyjść precz, i że usłuchali i wyszli.

— Bardzo żałujemy — rzekł pierwszy — że ci panowie tak blisko pana interesują, bo gdy się dowiesz, co tu przed półgodziną spotkało tego pana urzędnika, to będziesz musiał to samo pomyśleć, cośmy powiedzieli, a co widać panu dziwnem się wydało.

— Cóż to się stało? proszę panów — mówił Jan niespokojnie i blednąc nagle.

— Nietylko my, ale kilkadziesiąt osób to samo widziało i słyszało — mówił pierwszy; — będziesz się tedy pan mógł dowiedzieć o tem, od kogo zechcesz, gdy obelga tak głośna, tak jawnie zrobiona i z tak zimną krwią zniesiona, nie utai się i nie przyniesie honoru ani ojcu ani synowi, który już musiał się o niej dowiedzieć, choć zapewne przy tem nie był. Ale ponieważ to pana tak mocno obchodzi, to i ja mogę panu powiedzieć.

Tu opowiedział drżącemu od gniewu malarzowi, jak się rzecz stała.

— I panowie nie domyślacie się — zawołał Jan zagryzając wargi — kto był ten łajdak zamaskowany?

— Może to i nie był łajdak, i ten stary musi lepiej wiedzieć niż my, kto był ów mężczyzna, co się tak z nim obszedł, kiedy tylko spuścił głowę i obelgę schował do kieszeni — odpowiedział pierwszy, odwrócił się i poszedł.

Jan stał przez chwilę jak odurzony. Bolesne jakieś przecucie ścisnęło jego serce. Usunął się więc na bok, usiadł w kącie i opierając głowę na rękę, przechodził myślą wszystkie konsekwencje, jakie tak fatalne zdarzenie pociągnąć za sobą może. Biedny Juljanie! niedarmo ta chmura leżała na twojej drodze — mówił sobie w duchu — niedarmo ci się zdaje, że przed tobą nie ma już jutra, niedarmo zajechał ci w głowę Orest i jego fatalne przeznaczenie. — Gdy

tak myślał i wspominał o Oreście, przypomniała mu się cała rozmowa przed balem w restauracji Marego i rozmowa młodych ludzi, której się z ciekawością i wstrętem przysłuchiwał. Wtedy nagle zerwał się z miejsca i prawie głośno zawołał: — A! pan Wiktor! to pewnie on! — i puścił się po sali z postanowieniem, że wyszuka owe trzy maski i potrafi przekonać się, czy to ten sam młody człowiek, który z zamiarem skrzywdzenia pierwszego starego człowieka, jakiego by spotkał, z oberży wyszedł. Ale i jego poszukiwania były daremne: żadnej takiej grupy nigdzie nie spotkał, któraby się z trzech opisanych mu osób składała. Przypatrywał się więc twarzom bez masek, czy między niemi nie dojrzy młodego człowieka, którego by pewnie poznał. Ale próżno przeszedł salę w szerz i wzdłuż, przejrzał wszystkie kąty, przepatrzył foyer i uczującą w niem młodzież — pana Wiktora nigdzie nie było. Z ciężkiem więc zmartwieniem wyszedł z balu; a powróciwszy do domu, zbliżył się do łóżeczka śpiącej i uśmiechającej się przez sen Cesi, popatrzył na nią smutno, jakby wypadek ten miał porwać te złote nitki, które dla niej snuł w swej myśli, a to kładąc się, to chodząc po izbie, całą noc przemyślał, jak postąpić, jakim sposobem, jaką tarczą zasłonić przyjaciela od tego ciosu, który mu zagrażał.

Na drugi dzień rano weszła matka do pokoju Juljana, usiadła przy jego łóżku, i położywszy rękę na jego czole, delikatnie go zbudziła. Porwał się młody człowiek, pochwycił ręce matki i serdecznie ucałowawszy, zapytał, co się stało, że tak rano do niego przychodzi.

— Nie jest to tak bardzo rano, mój drogi Julku — rzekła matka — ojciec już ubrał się i wyszedł przejść się. A nim wróci na kawę, chciałam się z tobą widzieć i pomówić. Ale nie mogąc się doczekać, aż się obudzisz, przysłałam sama.

— O cóż to idzie, droga matko? — zapytał Juljan, siadając na łóżku i tuląc w swoich rękach ręce matki.

— Moje dziecko — odpowiedziała, patrząc mu bystro w oczy — od niejakiego czasu postrzegam jakąś zmianę w was obu. Szczególnie w tobie widziałam dobrze jakieś zamyślenie, jakiś niepokój, który starafes się przed okiem mojem ukrywać. Ale zapomniałeś, mój kochany, że to oko matki, że ono przywykło i umie przenikać do gruntu twego serca i czytać na dnie twojej myśli. Próżne więc były twoje usiłowania. Widziałam, że się w czemścis przedemną chowasz, i ciężko mi się zrobiło na sercu, żem dożyła tego momentu, w którym mój syn zaczął mieć sekreta przede mną.

— Nie, najdroższa matko! przysięgam ci na wszystko, że żadnego sekretu przed tobą nie mam. Nie taję ci, że mnie nic nie bawi, że mi coś przeszkadza w pracy, że nie mam tak swobodnej myśli, jak ją miałem dawniej. Ale gdzie źródło tego stanu, który sam czuję i który przed miłością twoją nie uszedł, tego nie wiem.

— Masz dwudziesty piąty rok, Julku — rzekła matka, przypatrując mu się z dumą macierzyńską. Juljan zaczerwienił się lekko, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Dwadzieścia pięć lat! Sądzisz zapewne, droga matko, że już czas, abym wiedział, skąd niepokój, który mnie opanował. Zapewne, jest to wiek namiętności, jest chwila, w której serce młodego człowieka otwiera się na przyjęcie lzy miłości, jak kielich kwiatu na przyjęcie rosy, która go odświeża i użyźnia. Ale wiesz dobrze, najdroższa matko, że ja was tylko kocham, że każdą kobietę, której powierzchowność podoba mi się, porównywan w myśli z tobą, i każda na tem traci i zostawia mnie obojętnym. Nie, droga

matko, jeszcze się nie zakochał, jeszcze kreska moja nie przyszła. A jak przyjdzie, dam ci słowo, że ty będziesz pierwsza, której powiem. — Matko! chciałbym, aby ta i ta była twoją synową. Poznaj ją i poradź.

Matka przycisnęła głowę jego do piersi, cicha łza wdzięcznej modlitwy do Boga, że jej dał takiego syna, upadła na jego czoło, i z tą pewnością w jego słowo i wiarą w jego szczerość, którą sama w nim wyrobiła, rzekła:

— Wierzę ci, prawda jest gruntem wszelkiej mądrości, wszelkiego szczęścia na ziemi. Może co piszesz i jeszcze nie przyszedłeś do jasnego widzenia wszystkich części swego przedmiotu. Wy poeci w takim stanie jesteście, jak obłoki, które mają zlać na ziemię deszcz użyźniający. Nim on spadnie i zazieleni pola i łąki, wprzód nasuwa się w chmurach i wydaje się posępnym i smutnym dla tych, co lubią błękit i pogodę.

— Być może, kochana matko — odpowiedział Juljan, patrząc z miłością w piękną jeszcze twarz matki, w której sercu było jeszcze tyle poezji, a w głowie myśl jasna i zdrowa. — Wprawdzie nie siedzę teraz nad niczem, ale czuję potrzebę pisania, czuję, że mnie coś nagli do wylania się na papier i przed tobą matko, która niestety! jesteś skazana na to, abyś najpierwsza czytała te niedowarzone prace. Zapewne to więc te chmury, o których mówisz, zbierają się w mojej głowie i występują na czoło. Daj tylko Boże, żeby z nich spadł deszcz użyźniający. Ale nie mówmy o tem, droga matko. Co jest ojcu? On nie poeta; już wczoraj zrobiłem tę uwagę, gdyśmy o tem z Janem rozmawiali. Musi więc być jakiś rzeczywisty powód tej zmiany, którą w nim widzę.

— Więc i ty spostrzegłeś to? — rzekła matka, blednac. — Właśnie to był główny cel, dla którego tu

przysięgam do ciebie. Kiedy młody poeta zaszepi się i wzdycha, to jeszcze nic strasznego. Te ideały, które go trapią i z którymi jeszcze nie przyszedł do ładu, są pod władzą jego; może nimi kierować i przestawiać je, jak szachy na szachownicy; ale kiedy taki człowiek, jak twój ojciec, okazuje niepokój, kiedy go dom nie cieszy, niecierpliwi żona, którą tak kocha, kiedy mimowolnie wzdycha i wstaje z łóżka, gdzie snu znaleźć nie może, i resztę nocy do samego rana przechodzi po pokoju, to rzecz ważniejsza, moje dziecko. Musiał on mieć do czynienia z ludźmi prawdziwymi. A z nimi ciężiej niż z ideałami, bo są zli i głupi; bo się nie dają ruszyć z miejsca i postawić tam, gdzie powinni; bo mają wolę, którą kierują namiętności, i rozum słaby, który choć widzi zły kierunek woli, oprzeć się jej nie umie.

— Jakto, matko — rzekł Juljan przestraszony — więc ojciec aż do takiego stanu przyszedł?

— Uważałam w nim zmianę od kilku dni — odpowiedziała pani Sulejewska. — Ale tłumaczył mi się tak, jak i ty, że nie wie, co mu jest. Wczoraj z tego balu, na który poszedł ulegając mojej prośbie i naleganiu, bom chciała, aby się rozerwał, przyszedł błądy i zupełnie zmientony.

— Mówił, że go głowa boli, że niezdrów — przerwał syn, słuchając z coraz większym napięciem.

— Tak mówił — odpowiedziała matka i łza błysnęła w jej oku — ale to nieprawda, udawał. On udawał! sądz zatem, czy miałam powód zatrwożyć się, i czy mogłam zasnąć. Nie spałam więc także i słyszałam jego westchnienia; i nie daj Boże! aby to była prawda, ale zdało mi się raz, że płakał.

— O mój Boże! — zawołał Juljan — cóżby to było?

— Czyś z nim razem wszedł na ten bal? — zapy-

tała, patrząc pilnie w oczy syna — czyś go nie odstępował?

Tu Juljan opowiedział, jak było: że o siódmej pytał ojca, czy mu każe sobie towarzyszyć; że ojciec, zajęty jeszcze papierami, odpowiedział, aby na niego nie czekał, — że ma jeszcze robotę, — aby sobie szedł, gdzie miał iść, i że w sali się znajdują; że on, ubrawszy się i pożegnawszy się z matką, poszedł do Jana i tam przesiedział do wpół do jedenastej. Że potem wstąpił do Marego na przekaszkę, i zasiedzieli się tam, rozmawiając i słuchając rozmowy młodych ludzi, która ich napełniła smutkiem i oburzeniem; że potem jeszcze przeszli się przez Saski plac, Krakowskie-Przedmieście, ulicę Miodową i Bielańską, i dopiero weszli na salę, gdzie zaraz szukał ojca, i ledwo w pół godziny znalazł go już bladym, zmienionym i skarżącym się na głowę, poczem zaraz wyszli.

— Więc i od ciebie niczego się nie dowiem — rzekła na to pani Sulejewska, kładąc dłoń na czole. Po chwili dodała: — A jednak musiało się coś stać. Twój ojciec nigdy się napróżno nie martwił, nigdy jeszcze troski swej przede mną nie ukrywał. Bo choć rady mojej nie potrzebuje, ale wie dobrze, że w sercu tak kochającym jest pociecha, jest słowo ulgi, jest miejsca dosyć, nietylko na przyjęcie połowy jego bólu, ale wszystkiego, wszystkiego, co dojmuje i rani jego zacną duszę. A przecież nic mi powiedzieć nie chciał, ani wtedy, gdy mi się zdało, że płacze, ani dziś rano, gdy go ze łzami prosiłam, aby mnie uwiadomił, dlaczego resztę nocy przechodził i oka nie zamknął.

Juljan wsparł głowę na dłoni i tak siedział milcząc, a po twarzy matki, patrzącej z miłością na syna i myślącej o mężu, którego tak czciła i kochała, płynęły ciche łzy, których już nie myślała hamować.

Pani Sulejewska była to rzadka kobieta. Urodzona w domu majątnym, wychowana wprawdzie sta-

rannie, pełna wyższych zdolności i tego poetycznego ducha, który się tak często w naszych kobietach objawia; ale jako jedynaczka psuta przez rodziców, a jako panna piękna i posażna, otoczona pochlebstwem i hołdami tych, co się umizgali równie do niej, jak i do jej posagu, uratowała się miłością dla człowieka, w którego zimnej na pozór twarzy wyczytała głębokie przywiązanie, z którego ust nie wyszedł żaden grzeszny fałsz, ale szczerą prawdą, z jaką oceniał i próbki jej talentu, i jej słowa i czynności, gdy go o to zapytała. Chociaż więc Andrzej Sulejewski był dopiero sekretarzem referentem w biurze, w którym służył, choć nie miał ani znaczenia, ani majątku, choć wiedziała, że się pod wiejską urodził strzechą, uważając jego rozum, serce i charakter za opokę, na której może szczęście swe zbudować, stałością, prośbą i perswazją wymogła na rodzicach, że mu ją oddali. Odtąd poddała się z nieograniczoną miłością jego woli i kierunkowi, stała się wzorową matką, wzorową gospodynią, i przelewając w dzieci swe tę cześć dla ojca, jaką dla niego miała, widziała to codzień, że jest na dobrej drodze; że te dzieci rosną szczęśliwie, rozwijając się jak bujne i zdrowe rośliny, w myśli i sercu swem nie rozdzielają ojca od matki, jednakową otaczając ich czcią, z jednakiem korzą się posłuszeństwem i w codziennej modlitwie łączą ich niejako codziennym ślubem w tem świętem westchnieniu: za rodziców! Łątwo więc pojąć, dlaczego Juljan był takim, jakim go już poznaliśmy, i dlaczego te słowa matki tak głębokie na nim zrobiły wrażenie.

Gdy tak oboje siedzieli, weszła siostra Juljana, Antosia. Miała ona już osiemnaście lat; nie była tak piękną, jak niedgys matka, na której twarzy jeszcze ślady dawnych powabów zostały; ale w licu panienki jasnym i otwartym leżał ten niewysłowiony wdzięk, jaki przy regularnych i miłych rysach, daje młodej

dziewczyźnie wyraz rozumu, stanowczy charakter, niewinność myśli, proste chęci, wesołość, a nadewszystko to szczęście, że żyje, że czuje życie, że wszystko co ją otacza kocha ją, i że ona to wszystko może nawzajem kochać i szanować. Była ona równie słuszna, jak matka i równie wysmukłej kibici; włosy tylko miała jaśniejsze, oczy nie tak głębokie, i usta częściej i chętniej śmiejące się. Weszła już starannie uczesana, w ładnym, choć niewykwintnym szlafroczku, ze świeżym kołnierzykiem, z rękawkami tylko co odprasowanymi, i ze sznureczkiem cienkich koralików na szyi, do których przywiązany był takiż krzyżyk i medalik z Matką Boską Częstochowską. Choć to było rano, ubrana już była na cały dzień, bo tak ją przyuczyła od dzieciństwa matka, która także położyła to sobie za prawidło, i gdy wychodziła ze swego pokoju do gospodarstwa, do dzieci i do śniadania, wychodziła już tak, że mogła się nietylko domowym, ale i każdemu obcemu pokazać. Jakoż i dziś, chociaż zmartwiona, choć całą noc nie spała, przyszła do syna w materjalnym szlafroczku, w czystym kołnierzyku, w świeżym czepeczku, opięta i prawie strojna. Ten dobry nałóg, do którego włożyła dzieci, oszczędzał im mnóstwo czasu, był nieocenionym przykładem dla sług, robił gospodarstwo cichszym i nie zadrypanem, i zaprowadził do domu porządek i czystość już od rana, tak, że kiedy gdzieindziej zaczynała się dopiero bieganina z wodą, z miednicą, ze ścierką, wrzawa o żelazko i klucze, noszenie przez pokoje sukien i spódnic, jak jakich sztandarów, u niej było już cicho, wszystko na miejscu, dzieci przy robocie, mąż w biurze, a ona sama z igłą w rękę, lub przy swem biurku, gdy miała co do pisania. Niepróżno więc powiedzieliśmy, że to była rzadka kobieta, choćby tylko z tego ostatniego względu.

Antosia weszła ze śmiechem na ustach; ale widząc, że brat siedzi z głową opartą na dłoni, a łzy pły-

na po twarzy matki, stanęła przy nich, i odchylając rękę Juliana, rzekła:

— Pokaż, czy i ty płaczesz? tyś błady i smutny. O! mamol! dlaczegoż ja o niczem nie wiem i śmieję się?

— Bo i my nic nie wiemy, moje dziecię — odpowiedziała matka. — Ojciec zmieniony i znikany. Całą noc nie spał, a co mu jest, mówić nie chce.

— Ojciec? cóż mu się stać mogło? może chory? — zawołała Antosia, błędąc widocznie.

— Nie, moje dziecię! to nie jest choroba — odpowiedziała matka.

— Czy ojciec miał wrócić ze spaceru na śniadanie? — zapytała panienka.

— Czekamy go właśnie — odpowiedziała matka.

— Otóż przysłał woźnego, żeby go nie czekać, że nie przyjdzie — mówiła Antosia.

— Chowa się przede mną! — krzyknęła wtedy pani Sulejewska, załamując ręce; a dowiedziawszy się, że woźny jest jeszcze, powstała i wyszła.

— Julianie! — rzekła wówczas Antosia, biorąc rękę brata i patrząc mu przenikliwie w oczy. — Ty nic nie wiesz?

— Nic a nic.

— Czy tak mówiłeś przed matką, żeby jej nie zmartwić, i tak mówisz przede mną, żebym nie wypała? czy tak jest istotnie?

— Tak jest istotnie — odpowiedział Julian smutno.

— Toż tego tak zostawić nie można. Trzeba dojść — mówiła panienka z postanowieniem kobiety kochającej. — Gdybym była na twojem miejscu, poszłabym zaraz wprost do ojca i musiałby mi powiedzieć.

— Ja też tak zrobię. Wyjdz, ubiorę się.

— Ubieraj się prędko. Ja ci tu przyniosę kawę.

— Nie chcę ja kawy — odpowiedział Julian.

— I ty nie chcesz? — zawołała Antosia, spojrzawszy na niego z trwogą. — O! i ty musisz coś wiedzieć.

— Mówię ci, że nic nie wiem, chociaż czuję, i to nie dopiero od dziś, że jest coś złego. Ale idź już, proszę cię.

— O Boże! — mówiła wówczas panna, zakrywając twarz — jakże mnie to niespodziewanie spotyka! a wstałam tak wesoła i szczęśliwa!

Gdy siostra oddaliła się, Julian zerwał się z łóżka i w kwadrans potem był już na ulicy.

Radca Sulejewski wyszedł rano z domu, żeby odświeżyć głowę znekana myślami i bezsennością, i uniknąć badawczego oka żony i zapytań, które mu tem bardziej przeszywały serce, że na nie odpowiedzieć nie mógł. Żeby ją jednak jakkolwiek zaspokoić, obiecał wrócić na kawę i pomówić o tem strapieniu, które dostrzegła. Gdy jednak poszedł do ogrodu Saskiego, gdzie się znalazł samotnym, gdy rozważać zaczął, że wymówienie się, choćby złagodzone, z krzywdą, jakiej doznał, dojdzie koniecznie do syna, który z narażeniem zdrowia i życia będzie się starał zmyć tę plamę, jaka na czoło jego spadła, postanowił milczeć bądź co bądź i ofiarować Bogu tę boleść, jaką na niego zesłał. Żeby jednak i zewnętrzny wyraz jego twarzy nie pokazał żonie i dzieciom, jak głęboko cierpi, żeby miał czas opanować się i przybrać ten charakter spokoju i powagi, który był zwyczajnem jego fizjonomji piętnem, postanowił nie pokazywać się teraz w domu, zając się obowiązkiem, spodziewając się, że te kilka godzin, które miał przed sobą, wystarczą mu do powrócenia, przynajmniej pozornie, do dawnego stanu. O dziewiątej więc poszedł prosto do biura, i woźnego, którego spotkał na drodze, posłał do domu, żeby go żona ze śniadaniem nie czekała. Jakkolwiek to był człowiek silnej duszy i mocnej woli,

nie mógł jednak uspić w sobie tego bólu, który miał życie jego strawić! Każda okoliczność rozdrażniała jego ranę, i na co spojrział, zdawało mu się, że to jakoś nie tak wygląda, jak pierwiej. Gdy wszedł na dziedziniec gmachu, do którego codzień przed godziną jedenastą przychodził, zdało mu się, że woźni, którzy przede drzwiami stali, zobaczywszy go, odwinęli się nagle i znikli; na tymże dziedzińcu spostrzegł kilku kancelistów, rozmawiających z sobą z zajęciem, a gdy go ujrzeni, rozeszli się i każdy udał się w swoją stronę; gdy się obejrzał ku bramie, obaczył dwóch sekretarzy dążących do biura, którzy znowu, gdy go ujrzeni, zatrzymali się i szeptać z sobą zaczęli. Gdy wszedł do sali, zastał newszystkie stoły jeszcze zajęte, a ci, co już siedzieli przy swoich, powstali, patrzyli na niego z podziwieniem, i gdy mijał drzwi i obejrzał się za siebie, zdawało mu się, że sobie jakieś dawali znaki, i dla rozmowy zbliżali się ku sobie. To samo mu się wydało i w drugiej sali, aż póki nie przyszedł do swego pokoju, w którym, jako urzędnik wyższy, sam jeden pracował. Tam dopiero, przymknawszy drzwi, rzucił się na krzesło i boleśnie zawołał: — O! tak! wszyscy już wiedzą! — Jedną tylko tą myślą zajęty, że publicznie shańbionym został, tego przedewszystkiem obawiając się, aby krzywda jego do uszu syna nie doszła, na wszystkich twarzach czytał te fatalne słowa, któremi go spoliczkowano, i w każdym ruchu swych podwładnych widział podziwienie, litość lub szyderstwo. Zapomniał o tem biedny starzec, że to było dopiero po dziewiątej, a on zwykle przed jedenastą przychodził; że zatem te wszystkie ruchy, gesta i szepty podwładnych, znających jego surowość, nie były czem innem, jak prostem zadziwieniem, że naczelnik tak wczesnie przyszedł, i obawą, aby nie skarcił jednych za to, że nic jeszcze nie zrobili, a innych za to, że ich na naznaczoną godzinę nie było. Ale

któż nie pojmie, że nie mogły być inne myśli i uczucia człowieka, który się nigdy za żadne słowo, za żadną czynność nie wstydził, a dziś, gdy się spodziewał, że go cześć i szacunek publiczny odprowadzą do grobu, z taką plamą na czole pokazuje się ludziom.

Jeszcze starzec nie ochłonał z pierwszego wrażenia, jakie na nim zrobił widok tego miejsca, gdzie tyle lat pracował i tyle zasług położył; jeszcze siedział pogrążony w myślach i trzymał obu rękami głowę, w której pulsa tak mocno biły, gdy drzwi się otwarły i wszedł Julian zadyszany i blady. Porwał się Sulejewski z miejsca, całą mocą swej woli pokonał w sobie przerażenie na tę myśl, że może syn wie już o wszystkim, i surowiej niż zwykle, zapytał:

— Czego chcesz? pociś tu przyszedł?

Julian zbliżył się z pokorą, wziął jego rękę i przyciskając do ust, rzekł:

— Przepraszam cię, drogi ojcze, jeżeli ci przeszkodził. Ale wczoraj byłeś tak blady i zasmucony, matka mówiła mi, żeś całą noc nie spał, wyszedłeś tak rano, że ci nawet nie oddałem dobrydzień, a teraz nie widzę także spokojności w twojej twarzy, zastałem cię pogrążonego w myślach. Będziesz-że się dziwił, ojcze, żeśmy wszyscy potrwożeni, że tu bez wiedzy nawet matki przyszedłem, aby cię obaczył, aby się dowiedzieć, co ci jest, co cię dotknęło? A musiało cię coś ciężkiego dotknąć, bo już od kilku dni widziałem, żeś nie był takim, jak zwykle; czułem to po tych ciężkich myślach, które i mnie prześladowają, że nam coś grozi, a znam cię dobrze i wiem, że drobna troska niezdolałaby cię do takiego stanu przyprowadzić.

Starzec odetchnął, zmiarkowawszy z pierwszych słów syna, że nic jeszcze nie wie, i słuchał go cierpliwie do końca. Gdy Julian umilkł i patrzył mu niespokojnie w oczy, podał mu rękę, przyciągnął do siebie i pocałował w głowę, rzekł z łagodnością, która

mu natchnęło to nagłe przejście ze śmiertelnej trwogi do chwilowego uspokojenia:

— Moje dziecię, nie dziwię się, żeś tu do mnie przybiegł i żeście się potrwożyli, bo wiem, jak mnie kochacie, a rzeczywiście miałem przykrość, której uitać tą razą nie mogłem, bom trochę niezdrów, jak zwykle tutaj przed wami takie gorycze, których żaden urzędnik uniknąć nie może, a których już tyle doznałem. Idź więc, Julku, do matki i powiedz jej, żeś mnie widział, żeś mnie jeszcze zastał nieukontentowanym i zamyślonym, ale że w ten moment biorę się do roboty, która mi chmurne myśli rozpędzi. Poproś matki, żeby był barszczyk na obiad, bo mi się zdaje, że będę miał na niego apetyt, i uspokój ją, że tej nocy spać już będę dobrze, zwłaszcza jak się zobaczę z Malczem, do którego zaraz napiszę, żeby w przejeździe wstąpił tu do mnie do biura. Idź, idź, mój chłopczel i nie trwożcie się tak bardzo rzeczą, którą ja sam, jak trochę ochłone, ocenię tak, jak na to zasługuje.

Juljan stał i patrzył mu w oczy. Stary zbladł cokolwiek, zadrżał w duchu i dodał poważniej:

— Czegoż mi się tak przypatrujesz? czy chcesz co na czole mojem wyczytać? czy mi nie wierzysz?

— Ojczel! — zawołał Juljan, porywając jego rękę i tuląc ją do ust — wiesz, jak cię czczę i kocham, i jak każde słowo twoje szanuję. Ale pamiętaj o tem, że mam już dwudziesty piąty rok, że potrafię ocenić tę przykrość, która cię tak dotknęła, czy pochodzi z twojego urzędu, czy z jakiej straty majątkowej, czy z innej jakiej okoliczności, której przyniknąć nie mogę. Ojczel! ja zasługuję na to, abys się ze mną twem zmartwieniem podzielił, a jeżeli chcesz, aby o niem matka nie wiedziała, klnę się Bogiem i tą czcią, jaką mam dla was, że wiedzieć nie będzie.

— Dziecko jesteś, mój Julku! — rzekł stary, mocując się z sobą i tłumiac głębokie wzruszenie, jakie

w nim słowa syna obudziły — że tak do serca bierzysz to, czego i śladu nie obaczycie jutro. Ale jednak dziękuję ci za te słowa miłości i trwogi. Uczą mnie one, że ja, choć stary, minąłem się z doświadczeniem w życiu nabyłem, i za mocno zapewne uczułem głupstwo, którem należało tylko pogardzić. No, uściskaj mnie, bądź dobrej myśli i idź uspokoić matkę.

Juljan rzucił się w jego objęcia, stary przycisnął go tak, jakby czuł, że mu niewiele takich rozkosznych chwil wyrok Boży zostawi, a skoro Juljan wyszedł i drzwi zamknął, upadł znowu na krzesło, załamał ręce i głosem, który z głębi duszy wychodził, zawołał: — Boże! Boże! chroń mnie od takiego ciosu! byłby zanedo ciężkim!

### III.

Gdy dwa tygodnie od tych bolesnych chwil upłynęło, zdawało się, że wszystko w domu radcy Sulejewskiego do dawnego wróciło porządku i pokój dawniejszy na wszystkich niby pokazał się twarzach. On sam, chociaż nie mógł zapomnieć o tem, co go spotkało, ale nie okazywał żadnego zmartwienia, żadnej trwogi, któraby mogła rodzinę niepokoić. Na szczęście ani w biurze pomiędzy kolegami i podwładnymi nie dostrzegł żadnej zmiany w szacunku ogólnym, jakiego doznawał, ani w twarzy żadnego znajomego, których spotykał, nie wyczytał śladu, że wie o zdarzeniu, które mu odebrało spokojność i gorzkimi myślami napełniło jego głowę. Wtedy tylko, gdy był sam, przeżuwał, że tak powiem, ciągle swoją krzywdę, szukał jej powodów i sprawcy, ważył jej skutki i konsekwencje, a chociaż spokojny w sumieniu, nie mający sobie nic do wyrzucenia, przekonywał się rozumem, że tylko postęпки hańbiące hańbią, że obelga, pochodząca od człowieka, którego płochosć, złość lub pod-

łość skryła się pod maską, nie może przynieść ujmy ani jego charakterowi, ani zasłudze. Ale chociaż był pewnym, że gdyby był jakiś sąd honorowy, przed któryby sprawy tego rodzaju wnoszono, nie on pewnie byłby potępionym i zinfamowanym; znał jednak ludzi i wiedział dobrze, że im niewiele potrzeba, aby uwierzyli w jakiś tajemny występki, który tak publicznie odebrał skarcenie; aby rozgadali, że musi to być coś, kiedy się tak stało; aby na tym gruncie, przydając cegiełkę do cegiełki, komponując i zaokrąglając coraz dziwniejsze kształty, wybudowali jakiś posepny i czarny budynek, który nie dziś, to jutro, zwali się na jego głowę. Z tych tedy powodów niejedną godzinę przechodził po pokoju, myśląc już nie tak o sobie, jak o żonie, o córce, a nadewszystko o synu, którego charakterem, głową i sercem pysznił się stary; niejedną noc przeleżał cicho w łóżku, tłumiąc głębokie westchnienia, które się z piersi jego dobywały, aby ich nie słyszała żona; a w ciągłym takim żyjąc przymusie, choć udawał pokój i zdrowie, trawił się skrycie i niszczał widocznie.

Wszystko to nie mogło się ukryć przed okiem takiej kobiety, jaką była pani Sulejewska. Śledziła ona każdy ruch męża, wpatrywała się w jego twarz, ważyła każde słowo i widziała to dobrze, że ten pozorny spokój jest tylko pokrywką jakiejś tajemnej walki, jest postanowieniem mocnej woli, którą wspiera nieograniczona miłość dla rodziny i chęć usunięcia od żony i dzieci wszelkiej trwogi, wszelkiej obawy. Kilka razy wprost objawiła mężowi, co o jego stanie myśli, że łączy w oku i z odwołaniem się do swoich zasług, jako żony i matki, prosiła go, aby się przed nią otworzył; ale stary z łagodną powagą odsuwał jej twargi i prośby, wmawiał w nią, że się ludzi; surowiej nawet dał jej poznać, że chociaż ma wszelkie prawa do jego miłości i zaufania, chociaż może od niego za-

dać zdania sprawy z najskrytszych jego myśli, jako męża i ojca, ale nie powinna się wdawać w jego tajemnice, jako urzędnika, i żądać od niego rachunku z tych wszystkich strapień, jakie mu jego obowiązki publiczne dają. Zresztą prosił ją nawzajem, aby przez wzgląd na dzieci dorosłe, kochające i zdolne już podzielać każdy ich smutek, nie okazywała tego niepokoju, jaki w niej widzi, i niepotrzebną troską i urojonemi trwogami nie zatruwała ich młodości. Ustąpiła więc ta zacna kobieta, jak była powinna; dopełniając woli męża, okazywała się spokojną; ale nieraz tajemne łzy rosły jej oczy, i niejedną noc przeszła jej bezsennie i w myślach, których ślad z czoła i twarzy swej zatrzeć usiłowała.

Antosia byłaby najpierw zapomniała o tej bolesnej chwili, jaką jej wówczas dały łzy matki i trwoga brata. Żywa, wesółka i szczęśliwa, dałaby się była złudzić tym pozornym spokojem ojca i matki. Ale Antosia miała jeszcze jedną osobę, oprócz rodziców i brata, której wesołość lub smutek napełniały ją szczęściem i trwogą. Ona pokochała pana Jana, raz za to, że był tak serdecznym przyjacielem brata, a potem za to, że miał piękne czarne oczy, które na nią zupełnie nie tak patrzyły, jak wszystkie inne oczy patrzyły, że pod jego czarnymi wąsami był uśmiech rozumny i miły, z którego widziała dobrze, jak mu słodko, gdy jest przy niej, że każde jego słowo było wyrazem uczciwego serca, energicznej woli i tego zdrowia duszy, które niezdolne było życie zakwaszyć i zasepić, ale owszem mogło odblaskiem swym wszystko zrobić zdrowem i rumanem.

Jan oddawna bywał w domu przyjaciela. Radca Sulejewski przyjmował go zawsze z uprzejmością, okazywał szacunek dla jego zasad, zachęcał do pracy i wytrwałości. Żona jego ceniła jego obyczaje, jego dobry humor, i okazując mu macierzyńską przy-



chylność, nieraz mu dziękowała za przyjaźń, jaką ma dla jej syna, i jawnie cieszyła się, że Julian w nim znalazł przyjaciela i towarzysza młodości. Był więc tam Jan, jak w domu; prawie każdej niedzieli i w każdej święto znajdował się z Cesią na obiedzie, i nigdzie nie był tak szczęśliwym, jak pod tym dachem, gdzie miał takiego przyjaciela, gdzie tak miła panienska oglądała na niego tem wyrazistym wejrzeniem duszy, które tyle daje nadziei, gdzie miał przed sobą wszystkie wzory cnót domowych i mógł widzieć na jawie, jak wykonywają się święcie i po bożemu obowiązki rodziców. Kiedy więc, i jak ci młodzi pokochali się, tego sami nie wiedzieli. Wprawdzie od początku ich zaznajomienia się aż dotąd, nie było pomiędzy nimi żadnej wzmianki o miłości, ale oboje widzieli to dobrze, że razem pójdą drogą życia, że jedno bez drugiego nie trafi do celu, jakim jest szczęście, ale zbląka się na bezdroże smutne i jałowe, gdzie się młodość zmarnuje i dojrzałe dni na niczem sterają.

Antosia miała dosyć zdolności do rysunku, i od roku dziwnej jakiejś do tej sztuki nabrała ochoty. Jan ofiarował się dawać jej lekcje i rodzice na to pozwolili. Były to dla wszystkich, nawet dla matki, która zwykle bywała obecną przy lekcji, bardzo wesole momenty. Bo chociaż rysunek szedł swoją drogą i panienska rzeczywiście znaczne czyniła postępy; ale równie uczennica, jak nauczyciel, byli tak z siebie kontenci, tak im przy tem rozmowa szła, jak z płatka, takie koncepta snuły się Janowi, tyle było przy tem śmiechu i humoru, że nieraz i matka wychodziła ze swej powagi i serdecznie się wraz z niemi uśmieiała.

Pierwsza lekcja po tem fatalnem zdarzeniu, które w salach reductowych miało miejsce, była wcale inna. Jan zaraz nazajutrz rano chociaż także całą noc oka nie zamknął, pobiegł do Angielskiego hotelu, i tam, również od garsona, który wczoraj usługiwał, jak i od

starszego kelnera dowiedział się, że ten młody pan, który za całą kompanję zapłacił, nie pytając się nawet, ile zaco? jak na takiego hrabiego przystało, bywa u nich często i zawsze tak płaci; że się nazywa Wiktor Znoński, jest synem kasztelana, który ma wielkie dobra gdzieś koło Kielc; że to zuch wielki, bo raz jakiegoś pana zbił u nich a ten go jeszcze przeprosił; że mieszka na Nowym-Swiecie, ma karetę i konie, któremi jakieś panny stąd — dodał kelner, uśmiechając się i ukazując na prawo — jeżdżą często na spacer; że już podobno dwa miał pojedynki, bo nikomu nie paroduje, a broń Boże go zaczepić.

Te wiadomości zmartwiły mocno poczciwego malarza i domysł jego, że to nie ktoś inny, jak ów pan Wiktor dopuścił się takiego zuchwalstwa i zatrul życie zacnego starca, uczyniły podobniejszym do prawdy. Zachmurzyło się więc jego czoło, ciężka troska zaległa jego serce, a tem cięższa, że na każde wspomnienie o tak nikczemnej napaści na niewinnego człowieka, gniew go porywał, a nie widział środka, jak sobie ulżyć i rzecz całą przed przyjacielem taić musiał. Gdy więc przyszedł na lekcję, był bładny, zamysłony, żaden dobry koncept mu nie przyszedł, prawie cały czas milczał, tak, że Antosia postrzegła natychmiast, że i jemu się coś stało i że jakaś fatalność spletała nagle to jasne pasmo ich życia, które się dotąd tak porządnie, tak łatwo wysnuwało. Nie śmiała go jednak zapytać, bojąc się, aby i ona nie zaszła za daleko w serdecznej troskliwości o jego niepokój, i on w podziękowaniu za to jej współczucie i tę troskę, której utaić nie mógł. Postanowiła więc czekać do następnej lekcji, i gdyby postrzegła toż samo, wtedy pomówić chciała o tem z bratem i uwiadomić go, że pan Jan ma jakieś wielkie zmartwienie, które go całkiem zmieniło. A tymczasem, tak jak rodzice udawali spokojność, żeby nie martwić dzieci, tak i ona była niby we-

soła, niby uśmiechająca się, żeby nie martwić rodzi-  
ców. Ale Juljan wiedział już o tem, o czem go sio-  
stra uwiadomić chciała, a chociaż nie pokazywał tego  
po sobie i także udawał, że wierzył w to uspokojenie,  
jakie widział na czole ojca, ale w duszy przekonany  
był, że to wszystko nie może się tak skończyć, i że to  
musi być coś takiego, co przed nim tylko ukrywano.  
Jakoż Jan zmieniony był i przybity, choć się krzepił  
i durzył go dawniejszym humorem; a Juljan znał  
przyjaciela, że własna troska, własna bieda nie mogły  
mu ani na chwilę odebrać dobrej myśli i przyprowa-  
dzić do tego stanu, w jakim się znajdował, jaki przed  
przyjacielem ukrywał, a o czem Juljan dowiedział się  
u niego w domu i dowiedział się ze szczegółami, które  
go przeraziły.

Mieszkał Jan na rogu Długiej ulicy i Freta. Miał  
tam na drugim piętrze szczupły lokalik, złożony  
z większego pokoju, z oknami wychodzącymi na ulicę  
Freta, a zatem ze światłem północnym, w którym była  
jego pracownia, i z dwóch małych pokoików, gdzie  
w jednym on sam sypiał, a w drugim siostrzyczka jego  
i gospodyni jego domu, Cesia. Tak już żył od lat  
trzech, i od lat trzech, to jest od jedenastego roku ży-  
cia, dziewczynka ta nauczyła się wstawać raniutko,  
wysyłać służbę do miasta, robić kawę dla brata, a dla  
siebie mleczko na śniadanie, sprzątnąć ślicznie swój  
pokoik, tak, że wyglądał jak cacko, poukładać w pra-  
cowni brata wszystko to, czego nie wolno było tknąć  
się służącej, t. j. pędzle, farby, ołówki, płótna, pa-  
piery i książki; ubrać się samej czystiutko w błękitną,  
wełnianą sukienkę, rozwinać kilkanaście papilotów,  
w które gęste jej kruczce włosy były ujęte na noc,  
uczesać je tak, żeby włoski te błyszczwały, jak polero-  
wany heban; przywiązać na sukienkę czarny materjal-  
ny fartuszek, i dopiero nakryć do śniadania, i śpiocha  
braciszka zbudzić, lub, jak mówi Bohdan, głośnem

całowaniem, lub jaką piosenką, którą dla niej skom-  
ponował pan Juljan, lub jakim figlem, np. przytknię-  
ciem lakierowanych ust ogromnej lalki do ust brata,  
lub temu podobnym, którego ją własna jej nauczyła  
żywość. Po śniadaniu i zaniesieniu do kuchenki  
wszystkich jego przyborów, gdy służa wróciła z mia-  
sta, zamiotła pokój pana, zaściła jego łóżko, Cesia, na-  
radziwszy się z bratem, co wedle jej funduszków może  
być na obiad, wchodziła z powagą do kuchni, i sto-  
sownie wydawała dyspozycje. A że to robiło się co-  
dzień, że z początku niby bawiła się *w panią*, a potem,  
choć ją ta zabawka trochę znudziła, postrzegła, że to  
rzecz konieczna, że brat na to nie ma czasu, a pan Ju-  
ljan, ile razy przyjdzie, mówi z nią o tem jej gospo-  
darstwie i cieszy się widocznie, gdy mu ona szczegóły  
swoich kłopotów opowiada z zajęciem, tak polubiła  
swoją rolę, tak się do niej wprawiła, że już to ją nie  
nie kosztowało, a ta odpowiedzialność, jaka na niej  
ciężyla, rozwinęła prędko jej umysł, i zrobiła ją dziw-  
nie przytomną, skrętną, umiejącą sobie radzić i bacz-  
ną na wszystko.

Gdy się te zajęcia jej skończyły, gdy brat ubrał  
się i albo wyszedł na lekcję, albo siadał do sztalugi,  
wtedy Cesia zasiadała także przy swoim stolyczku  
i uczyła się pilnie lekcji, jaka jej naznaczał brat, który  
ją uczył po niemiecku i arytmetyki, i pan Juljan, któ-  
ry co drugi dzień do niej po godzinie czwartej przy-  
chodził, i uczył ją polskiego języka, francuskiego, ge-  
ografji i historji. Gdy wszystkie te lekcje były wy-  
uczone, a wyuczane były prędko i doskonale, zwięsz-  
cza dla pana Juljana, gdy przykłady i ćwiczenia były  
porobione, wtedy Cesia brała się do igielki lub noży-  
czek, krajała i szyła sukienki, spódniczki, kaftaniczki  
i koszulki dla swojej lalki, w czem znowu wskazywała  
i nauki dawała jej panna Honorata, cioteczna siostra  
pana Jana. Była to panienka uczciwa, już niemłoda,

utrzymująca się z pracy rak i należąca do wspólki w jednym z tych magazynów mód, które z każdego okna wzdłuż ulicy Freta biją zachwycającą elegancją, przed którymi wprawdzie żadna nie staje kareta, ale gdzie zatrzymują się często zabłocone, roztrzęsione i mające już tłómk między resorami szlacheckie koczyki, gdzie długo stoją bryczki kolonistek i gdzie co chwila wbiegają owe *piękne Warszawianki*, które w niedzielę na Nowym-Swiecie wzięłybyś za panie, co galonowego lokaja zostawiły w domu, a ich kapelusze i stroje za wyroby z Krakowskiego-Przedmieścia, lub przemycone z Parwza precjoza. Gdy jednak Cesia pilniejszą miała robotę, kładła na bok te elegancje, a przeglądając bieliznę swoją i brata, cerowała, gdzie było potrzeba, zaszywała co się rozpruło, przymocowywała guziczki i tasiemeczki, gdzie groziły urwaniem się i zatraceniem. Po skończeniu dopiero tych wszystkich zatrudnień, nakryciu do obiadu i przekonaniu się, że wszystko gotowe i smacznie przyrządzone, jeżeli brat spóźniał się z przyjściem, bawiła się swoją lalką, sadzała ją na kanapkę, ubierała się sama w kapelusik i salopkę, przychodziła do niej z wizytą, rozmawiała z nią o pogodzie, o różnych wiadomościach z Kurjerka i jego anegdotach, o różnych trudnościach gospodarstkich, o służbach, a nareszcie wypytywała troskliwie o zdrowie męża i konsolacji. Wszystkie te rozmowy toczyły się głośno, żywo, często z dowcipem i z takimi uwagami, że gdyby można było je podsłuchać bez jej wiedzy, każdy zabawiłby się i zastanowił, że to osobliwsze dziecko łączyło w sobie i przedwczesną dojrzałość i właściwe wiekowi swemu złudzenia i swywole. Tak więc Cesia nie próżnowała nigdy, i każdym swem zajęciem i każdą zabawką rosła i rozwijała się nad lata. W serduszku jej także było więcej, niżby wiek pozwalał, chociaż sama nie wiedziała, co to jest, i dlaczego tak przyglęła do dwóch najdroższych so-

bie istot, to jest do brata i do Juljana. Obu ich kochała zarówno, ale każdego inaczej; obu starała się równo dogadzać, ale cóż to była za ogromna różnica w pamiętaniu, tego wszystkiego, co jej brat kazał, a o co poprosił pan Julian! Pierwsze czasem się i zapomniało, drugie ani na chwilę nie schodziło z jej myśli i póty tkwiło w jej główce, póki z największą dokładnością wykonaniem nie było. Stąd też niemiecki język, nie dlatego że niemiecki, był czasem zaniedbanym; arytmetyka, nie dlatego że trudna, była często nieumiana; ale dlatego, że nie było czasu na niemczyznę i arytmetykę, gdyż pan Julian wielką zadał lekcję, a lekcja dla pana Juljana musiała być koniecznie jak pacierz wyuczona, i każde jego słowo, którym ją objaśniał, spamiętane i zanotowane. Stąd, gdy brat czasem był niekontent, gdy się skrzywił lub fuknął, Cesia umiała się wytłómaczyć, czasem i skrzywić się potrafiła, i jak prawdziwa gospośnia nadała się niekiedy; ale kiedy pan Julian zrobił jaką uwagę, kiedy się tylko lekko zmarszczył, lub powstał, nic nie powiedziałwszy, i nie takim tonem, jak zwykle, pożegnał Cesię, było smutku na cały wieczór i leż na poduszeczce póty, póki zmęczonych i czerwonych od płaczu powiek sen nie zamknął i nie ukoił tej serdecznej troski, którą zatrudnienia następnego dnia, praca z podwojoną ochotą, i słodka za nią nagroda w uśmiechu i pochwalę pana Juljana nie rozsepiły zupełnie. Była Cesia i wzrostu słusznego, dość pełna, kształtnie złożona, miała oczy czarne, błyszczące i ślicznymi osłonięte rzesami; czoło niezbyt wysokie, ale czyste, płeć cokolwiek śniadawą, ale pełną zdrowia, nosek foremny, usteczka koralowe, zęby cyganki; w ruchach swych była żywa i poważna razem, w miarę tego, jak brała na siebie rolę zakłopotanej gospodyni, lub swywolnego dziecka; ale zawsze tak szykowna, tak pełna gracji, że miło było na nią patrzeć, czy siedziała z igielką w rękę

i przysłuchiwała się rozmowie dwóch przyjaciół, czy się krzątała koło gospodarstwa, lub poskoczyła dla podania któremu z nich albo cygara, albo ognia, albo jakiej książki z szafki; czy biegła po pokoju, podrzucając pod stopki swe sznurek, który przelatywał z ręcznikiem nad jej głową, albo tańczyła kaczuczę, jak Witucka, lub mazurka i węgierskiego, jak Turczynowiczowa.

To serdeczne przywiązanie, tę nie znającą jeszcze siebie miłość odpłacał jej Julian świętem prawie uczuciem, które z początku było pełnem interesu upodobaniem w rozwijającym się rozumku i wdzięcznych figlach ślicznego dziecka, było tkliwem i opiekuńczem przeniesieniem na nią części tej przyjaźni, jaką miał dla jej brata, było tylko szlachetną chęcią pomagania biednemu przyjacielowi w kształceniu i oświecaniu tej siostry, którą tak kochał, i która prócz niego nie miała nikogo na świecie. Stopniami uczucie to wzmoгло się, dojrzało i oparło się na niezachwianem postanowieniu, że gdy to dziecko dorosnie, gdy ta główka tak zdrowa i pojętna pojmie, co to jest życie i obowiązki, gdy to serce tak dobre, tak wdzięczne za każdą oznakę przychylności, pozna samo siebie i dla kogo innego nie uderzy, że to będzie właśnie ta, o której mówił matce, i o której, mówiąc to, myślał: poznaj ją matko! i obacz, czy warta być twoją synową. Ale Julian nietylko nie starał się tę chwilę przyspieszyć, nietylko, że czuwał nad każdym swem poruszeniem, nad każdym słowem, nad każdym wejrzeniem, aby rozwinięta nad lata dziewczynka nie postrzegła, jakiej natury jest jego przywiązanie, jak jest głębokiem, i jak stanowczo wpłynie na radość lub niedolę całego jego życia, ale owszem czuwał nad nią z macierzyńską prawie pieczołowitością, chronił od przedczesnego światła, sam wybierał dla niej sługi, pilnując, aby były kobiety stateczne i szanujące uszy niewinnego

dziecka, nieraz nawet karcił przyjaciela, gdy ten zapędził się w jakiej rozmowie i nieuważnie, jak był żywy i lubiący robić złośliwe uwagi, z jakim niebaczem odezwał się słówkiem. Słowem, tak dalece ją pod tym względem szanował, że postawił jej niewinność na straży swoich własnych myśli, swoich własnych obyczajów, i obrazem jej bronił się, jak jakim talizmanem, przeciwko wszelkiej pokusie, na jakie tak piękne i tak ogniste młodzieńca wiek i życie w Warszawie narazić mogły.

Gdy Julian tego samego dnia, którego wszyscy odkryli ciężkie jakieś zmartwienie ojca, po godzinie czwartej przyszedł do Cesi na lekcję, nie zastał przyjaciela w domu, a ją smutną, siedzącą w zamyśleniu i trzymającą na kolanach książkę, którą widać zająć się szczerze nie mogła. Ten widok uderzył go; a gdy się do niej zbliżył, gdy go postrzegła, porwała się z miejsca uradowana i z uśmiechem obie mu rączki podała, obaczył, że oczy jej czerwone, i że na czarnych jej rzęsach zostały jeszcze łzy, które widać nie wszystkie wyplakała.

— Ach! jakże to dobrze — rzekła wówczas Cesia — żeś pan przyszedł, panie Juljanie. Myślałam już, że i pan nie przyjdiesz, bo już blisko piąta, i że wszyscy mnie zostawią, żeby tu tak siedziała w smutku i Bóg wie co przemyślała.

— Cóż to się stało, moja biedna Cesi — rzekł Julian błędąc, ale zmuszając się do uśmiechu — żeś tak zasmucona i w takich myślach? Czy masz jakie wielkie kłopoty w gospodarstwie swoim? może takie, jak wczorajsze?

— Ale gdzie tam! gdzie tam! — odpowiedziała, poruszając główką i trzęsąc czarnemi lokami, które ja otaczały — gospodarstwo to rzecz bardzo ważna dla kobiety, jak pan mi to nieraz mówiłeś, ale jakoś, choćbym chciała się niem mocno zmartwić, to nie mo-

gę. Pomyślę o tem troszkę, pogniewam się i zapomnę. Ale widzisz pan — dodała, podnosząc na niego oczy i wpatrując się z przywiązaniem — czekałam jak nie wiem czego tej czwartej, żeby już pana obaczyć i wszystko panu powiedzieć; ale i pan widzę jesteś blady, i nie tak na mnie patrzysz, jak zwykle, i może lepiej wiesz, niż ja, co się stało, i dlaczegom taka zmartwiona.

— Doprawdy, moja Cesiu, że nic nie wiem — rzekł Juljan siadając i biorąc z rąk jej książkę. — Ale połóż-no to; bo zapewne z przyczyny tego zmartwienia nie mogłaś się dobrze przygotować na lekcję. Dajmy więc jej pokój, a powiedz, jakie to tak ciężkie myśli cię trapią, że aż płakałaś, bo i to widzę.

— Oho! i jak jeszcze płakałam — odpowiedziała ze łzą w oku, która świeżo napłynęła, i z uśmiechem na ustach, który błysnął tak, jak czasem słońce przez deszcz przeziera. — Płakałam raz dlatego, że mi zmartwienie moje nie dało nauczyć się lekcji, że co otworzę książkę i zacznę, aż tu inne myśli przesuwały się i cisną się tak, że liter nie widać. A wtedy, jak sobie przypomnę, że pan przyjdiesz, że będziesz niekontent, że choć nic nie powiesz, ale ja to doskonale poznam, że ci to przykro, że sobie pomyślisz: to niewdzięczne dziecko! ja dla niej pracuję, a jej co innego w głowie! to wtedy znowu łzy zasłaniały mi te same litery, na które jak groch kapały.

Juljan potłumił w sobie jak mógł głębokie wzruszenie, jakie mu to mimowolne wyznanie przywiązania jej dało, i rzekł uśmiechając się:

— Widzisz tedy, Cesiu droga, że ja się zaraz domyślił, że z tej dzisiejszej lekcji nic być nie może. Nie myśl więc o tem, to się nagrodzi jutro.

— O! kiedyś pan taki domyślny — przerwała mu Cesia, przysuwając sobie krzesło i siadając blisko niego — żeś przeniknął jedno moje zmartwienie, to ja za-

to panu powiem, skąd się wzięło drugie, a obaczysz pan, czy mogłam spokojnie myśleć o tym Aleksandrze Macedońskim, o którym dziś miałam na lekcję, a którego i tak niebardzo lubię za to, że kazał spalić Teby, choć chciał ochronić dom Pindara poety. Jak gdyby to największy w świecie bohater mógł dyrygować pożarem i zaimponować ogniowi, żeby go słuchał. Ale niech on tam sobie tymczasem idzie do Azji, a ja wróć do mojej wielkiej biedy. Czy pan wie — mówiła dalej, przysuwając się jeszcze bliżej — że Jan, jak przyszedł wczoraj z balu, to ani się rozbierał, ani pomyślał o śnie? Do białego dnia, to chodził po pokoju, to kładł się ubrany na łóżko i chciał coś czytać, to potem cisnął książkę na ziemię, zerwał się i znowu chodził. Ja nie spałam także dość długo, i to od wczorajszego; później zasnęłam smaczno, i coś mi się o nim i o panu śniło. Aż tu tup! tup! słyszę, że on nie śpi, chodzi i tłucze się, jak Marek po piekle. Ja więc spytałam: — Jasiu! co tobie takiego? może ci czego trzeba, to powiedz, a wstanę. — Leż cicho, smarkata — fuknął na mnie — i śpij! — Przycupnęłam więc i myślałam, że to jeszcze wczorajszego mi nie zapomniał. Niebardzo się więc zmartwiłam, tylko byłam zła, że on taki zawzięty i gniewa się za to, czemu sam więcej był winien, niż ja, bo mi mało zostawił pieniędzy. Ale leżąc tak cicho i słysząc, że chodzi i chodzi, raz wzdycha, znowu tupa nogą w złości, raz mówi: — Boże! Boże! — to znowu wszystkich djabłów wspomina, pomyślałam sobie, że to musi być coś innego, bo ten kawałek szynki, którego mu wczoraj nie dałam, nie wart był takiego chodzenia, takiego wzdychania i gadania z sobą samym. To też i przekonałam się, że zupełnie nie to.

— I doszłaś, co to było? — rzekł Juljan, widocznie zmieszany i słuchający z największym napięciem.

— Co było, tego nie doszłam — odpowiedziała, machnąwszy rączką — i to właśnie była przyczyna, że prawie cały dzień płakała i wyglądała jak zbawienia, żebyś pan przyszedł i pocieszył mnie strapioną. — I spojrzała na niego okiem tak kochającym, wejrzeniem tak starszem niż jej lata, że Juljan za drzał, spuścił wzrok do ziemi, a ona mówiła dalej: — ale tego doszłam i przekonałam się zupełnie, że to było nie to, com myślała. Bo gdy wstała, wyprawiła Tomaszową do miasta, zgotowała kawę, a wszystko to z przyczyny tej bezsenności zrobiło się dziś później, niż zwykle; gdy wyszła, chcąc nakryć do śniadania, patrzę, aż mój pan Jan już ubrany, w kapeluszu na głowie, naciąga rękawiczki i chce gdzieś drapnąć, nie powiedziawszy mi ani słowa. Zaszłam mu więc drogę i srogo spojrzawszy mu w oczy, mówię: — wstydz się! czy tak się gniewasz na takie głupstwo, za które cię i pan Juljan złażał, że nie pocałujesz mnie nawet i nie chcesz tej kawy, którą dla ciebie zgotowałam? — On wtenczas spojrzął na mnie tak, jak gdyby dopiero sobie przypomniał, że ja żyję na świecie, podniósł mię, pocałował serdecznie i rzekł: — Moja biedna Cesiu! co tobie w głowie? czybym ja o takim bzduństwie myślał? posil się sama, bo ja teraz kawy, nawet twojej nie przełknę, i bądź zdrowa, moje życie, muszę wyjść, mam pilny interes. — Przyjdiesz-że przynajmniej na obiad? zapytałam z płaczem. — Przyjdę, moja droga, odpowiedział. — Cóż każesz gotować? pytałam znowu, biegnąc za nim do drzwi, a on już z sieni odpowiedział: — co sobie sama chcesz, wszystko mi jedno — i pobiegł tak, jak gdyby paliło się na Długiej ulicy, lub w magazynie panny Honoraty.

— I przyszedł-że na obiad? — zapytał Juljan, zsunawszy brwi, i trąc ręką czoło. Ona popatrzyła na niego bystro, pokiwała główką i odpowiedziała:

— Przyszedł, ale tak wyglądał, jak i pan teraz

wyglądał. Marszczył się, tarł ręką czoło, szarpał wąsy, prawie nic nie jadł, i skorośmy wstali od tego nieszczęśliwego obiadu, pochodził, pochodził, nic nie gadał i raptem porwał za kapelusz i znowu poszedł. I powiedz-że pan teraz — dodała nawpół z płaczem i klasnąwszy w ręce — co to wszystko znaczy? bo pan musisz coś wiedzieć, bo niepróżno pan także jesteś nieswój, nie tak na mnie patrzysz i nie takim głosem do mnie mówisz, jak zawsze. Mówicie, że ja jestem dziecko i dla tego może ukrywacie się przede mną. Cóż stąd, że mam dopiero trzynaście lat. Ale czy to nato trzeba siwych włosów, żeby kogoś kochać i martwić się jego smutkiem i gorzkie łzy wylewać, nie wiedząc, co sobie myśleć, i bojąc się, czy tam gdzie na was nie czatuje jaka bieda, która mi was odbierze i zostawi sierotą, której nikt dobrego słowa nie da.

Juljan nie był panem swego wzruszenia, przyciągnął ją do siebie, przycisnął jej głowę do piersi, do której się ona tuliła płacząc, i tak stał przez chwilę, czując, jak głębokiem jest jego przywiązanie, jak gorąco pragnie, aby te kilka lat, które temu cudnemu dziecku miały dać dojrzałość, przeszły prędko i nic w sercu jej nie zmieniły. Wkrótce jednak przypomniawszy, że ten stan przyjaciela nie może nie mieć związku z ich własnym smutkiem, posadził płaczącą jeszcze Cesię, przeszedł się parę razy po pokoju, i przemógłszy własny niepokój, z udaniem uspokojeniem rzekł:

— Niepotrzebnie, moja droga Cesiu, tak bardzo zmartwiłaś się i płakałaś, i najniepotrzebniej w świecie wyobrażasz sobie Bóg wie co i przypisujesz jakiemuś nieszczęściu zły humor brata. Może on mieć taki kłopot, taką przykrość, którą nie wolno mu z tobą się podzielić, nie dlatego, żeś dziecko, bo on wie dobrze, żeś nie takie dziecko, jak inne; że kiedy umiesz tak doskonale gospodarować, to potrafiłabyś

go i pocieszyć, ale dlatego, żeś kobieta. A my męż-  
czyźni mamy czasem na sercu takie rzeczy, których  
kobietom powiedzieć nie można.

— A, to chyba że tak! — rzekła wówczas Cesia,  
uśmiechając się do niego przez łyż, które ocierała.

— Widzi pan, nie napróżno wyglądałam tak nie-  
cierpliwie, aż pan przyjdiesz. Wiedziałam ja dobrze,  
że nie kto inny, tylko pan Juljan pocieszy mnie w mo-  
jej biedzie i wyperswaduje ten strach, który mnie  
ogarnął. Teraz już jestem spokojniejsza. Gdyby nie  
pan, panie Juljanie, gdybym jeszcze dłużej musiała  
tak przemyślać i płakać, jak dziś, o! to bądź pan  
pewny, żebym prędko przestała być dzieckiem. A po-  
tem Jan żałowałby tego, jakbym zapomniała o swy-  
woli, i jakby mi ni stąd ni zowąd włosy raptem po-  
siewiały. A toby było zabawnie, nieprawdaż, panie  
Juljanie? — dodała klaszcząc w ręce, uśmiechając  
się i patrząc na niego tak, jakby mu chciała powie-  
dzieć, że sam widok jego oblicza zdolny jej odjąć  
wszelki smutek i wszelką jej boleść złagodzić. Juljan  
zrozumiał to jej wejrzenie, bo i sam czuł, że przy niej  
i jego troska, jakkolwiek ciężka, zmniejsza się i kol-  
ce swe traci. Uśmiechając się więc także, odpowie-  
dział:

— Otóż to rozumnie robisz, Cesiu, żeś się uspo-  
koila i wierzysz mojej perswazji. Poczekamy na Ja-  
na, i obaczysz, jak wróci, że będzie już wcale innym,  
niż był rano, i przekonasz się, że ja miałem rację.  
A teraz róbmy co, żeby nam czas był krótszym.

— Dobrze! — rzekła, poskoczywszy z taką ochotą,  
jak gdyby wcale nic nie zaszło, a potem zastana-  
wiając się, dodała z prośbą: — Tylko nie o tym  
Aleksandrze Macedońskim, panie Juljanie, bo to mi  
znowu przypomni, jakem dziś nad nim płakała. Le-  
piej przeczytam panu moje ćwiczenie polskie.

— Zgodzi! — odpowiedział Juljan. — Cożes na-  
pisała?

— List do przyjaciółki na wieś, opisujący Po-  
pielec u Dominikanów. Obaczy pan, ile to ja tam  
popiołu na głowy warszawskich grzeszników wysypa-  
łam. Ale pozwoli pan, panie Juljanie, że sobie pier-  
wej jeszcze odczytam sama, gdyż napisałam to bar-  
dzo prędko i bardzo byłam wtedy z mojego wielkie-  
go rozumu kontenta. Ale teraz, kiedy przychodzi ten  
okropny moment, że muszę to panu pokazać, to już  
stąd widzę, że tam trzeba to i owo wymazać i obaczyć,  
czy te nieszczęśliwe kommy, o które panu tak zawsze  
bardzo idzie, nie porozłaziły się jak muchy, i nie sie-  
dzą właśnie tam, gdzie niepotrzebne. Niech pan so-  
bie tymczasem przyrządzi cygaro, a ja panu zaraz  
przyniosę świecę. Dobrze, panie Juljanie?

— Dobrze, moje dziecię! — odpowiedział młody  
człowiek, patrząc na nią z uśmiechem takiego szczę-  
ścia, że o trosce swojej zupełnie zapomniął. Posko-  
czyła tedy Cesia do kuchenki i wkrótce, przyniósłszy  
zapaloną świecę, rzekła:

— Ale pan nie będziesz się nudził, panie Ju-  
ljanie?

— Nie, moja Cesiu, mam o czem myśleć.

— Ach! prawda — odpowiedziała — jak to ma-  
drze Pan Bóg urządził, że te myśli dał człowiekowi.  
Chociaż one czasem, tak jak mnie dziś, kością w gar-  
dle stana; ale zato naprzykład w nocy, kiedy spać  
się nie chce, kiedy cicho i ciemno, jak to słodko my-  
śleć sobie to i owo, wyobrażać sobie różne rzeczy  
i osoby. O! to dla mnie czasem takie wielkie szczęście.  
Ale już idę... tylko pan się przygotuj, panie Juljanie,  
że to będzie wielka banialuka.

To powiedziawszy, spojrzała jeszcze na młodzień-  
ca, który z niej nie spuszczał oka, i pobiegła do swego  
pokoiku, którego drzwi przymknęła. Juljan patrzył

jeszcze za nią nie ruszając się z miejsca. Mimowolna łaża, łaża miłości i jakiegoś żalu, którego sobie wytłómaczyć nie mógł, stanęła w jego oczach, a obraz dziewczynki ze wszystkimi wdzięcznymi ruchami jej ciała, a bardziej z tem podlatywaniem rzeźwej myśli, co jak swobodny ptaszek trzepotała się w jej główce, przeskakując z jednej gałązki na drugą, stał przed jego duszą. Jeszcze nie otrząśł się z tych marzeń, które go czarowały, gdy usłyszał kroki na schodach i Jan wszedł do pokoju.

Jan był dość blady i z całej jego twarzy widać było zmęczenie i fatygę, jaką dają złe myśli, których ani pozbyć się, ani przed którymś uciec nie można. Gdy jednak obaczył Juljana, przybrał wyraz niby weselszy, przez który chciał uniknąć pytań i badań, chociaż spodziewał się, że Cesia musiała mu już wypłać, jak noc przebył, w jak niegodziwym był humorze przy obiedzie i t. d.

— Jesteś widzę weselszy — rzekł mu Juljan — niż byłeś dzisiejszej nocy i przy obiedzie.

— Oho! — odpowiedział Jan — przeczuałem, że ci ta srocza wyśpiewa wszystko.

— Mogłeś się tego spodziewać — rzekł Juljan — że ze zmartwieniem swem przyjdzie do mnie po pociechę. Ale nie należało jej martwić milczeniem i ukrywaniem przed nią powodu złego humoru. Lub jeśli nie mogłeś powiedzieć prawdy, należało coś wykomponować dla uspokojenia jej, żeby biedne dziecko nie trapiło się myślami, nie wyobrażało sobie Bóg wie jakiej klęski, która cię spotkała.

Jan spojrział na niego, uśmiechnął się i podając mu rękę, rzekł:

— Dziękuję ci, kochany Juljanie, za tę radę; tak zrobię. Biedna Cesia! poco ma tak wczesnie rozbudzać się z tego czarownego snu, który kołysze duszę dziecka. Nie uwierzysz, jak się cieszę, kiedy widzę,

że lalka jeszcze ją bawi. O! z lalkami lepiej, niż z ludźmi! — zawołał mimowoli, a potem reflektując się, dodał: — Ale co tam! wszystko to głupstwo, nie warte funta kłaków.

— Cóż to się stało? przynajmniej przede mną nie masz potrzeby ukrywać się i taić — zapytał Juljan, patrząc nań przenikliwie.

— Co się miało stać! — odpowiedział zmieszany Jan, i dla ukrycia swej twarzy odwróciwszy się na bok i szukając cygara, dodał: — Mówiłem ci, że o tem nie warto mówić. Jakieś wyszedł, maska jakaś przyczepiła się do mnie i zaczęła mi prawić androny, które mnie nie interesowały; ale wkrótce wtrąciła słówko takie, że zacząłem słuchać. Za tem słowem poszło inne, które mnie do żywego dotknęło, bo mi się zdało, że wie o tem, czego nikt nie wie, o czem nigdy nawet z tobą nie mówiłem. Nie wiedziałem, na którym świecie stoję, tak mnie to zmieszało i taką we mnie obudziło ciekawość. Skakałem więc koło niej, zaglądałem w oczy, przypatrywałem się rączce, ale ani rusz zgadnąć, co to za jedna, co tak czyta w mojem sercu. Filutka ta, kontenta, że mnie przyprowadziła do ostatniej niecierpliwości, korzystając, że ktoś do mnie zagadał, zaśmiała się głośno, odwinęła się i poszła. Ja za nią, a tu ścisł taki, że się przedrzeć nie mogę. Widzę ją jeszcze, ale widzę, że się miesza z innymi maskami, że mi zginie w tłumie, że jej nie znajdę. Więc zacząłem pchać się, zagapiłem się i przez rozziargnienie i pośpiech popchnąłem tak jakiegoś pana, że się aż zatoczył. Jegomość zmarszczył się i nazwał mnie gburem wprzód, nim go zdołałem przeprosić i wytłómaczyć się. To mnie rozgniewało; powiedziałem także, że chciałem pana przeprosić za moją nieuwagę, ale teraz tego nie zrobię. I musiałem przestać na tem, bo to figura nielada, z którą żartować nie można. Ot i cały powód i mojego niepokoju



i zmartwienia, a raczej gniewu na samego siebie, czego najgorzej nie lubię.

Jan mówił to wszystko prędko, ze spuszczonei w ziemię oczami, raz że się wstydział swego kłamstwa, a potem bojąc się, by Juljan z twarzy jego nie wyczytał, że całą tę historyjkę tylko co skomponował, idąc za daną sobie radą.

Juljan słuchał cierpliwie, o nic więcej nie zapytał, żadnej nie robił uwagi, ale pochodziwszy cokolwiek po pokoju i spojrzawszy raz i drugi na przyjaciela, który się przed nim chował ze swą twarzą i oczami, wziął kapelusz i podając rękę Janowi, rzekł:

— Dobranoc ci, Janie! pójdę do domu, obaczę co się tam dzieje. Przeprós Cesię, że się dziś z nią zająć nie mogę, wykomponuj także i dla niej coś takiego, coby ją uspokoiło. Zastałem ją tu płaczącą i bardzo zmartwioną. Biedne dziecko! wplątuje się już zawczasie w koło życia, które gruchocze kości tym wszystkim, co go się za mocno chwytają. A szkoda, bo ona na to zasługuje, aby jak najdłużej była dzieckiem, igrającem na kwiatkach i dalekiem jeszcze od tego błotnistej i kamienistej gościńca, po którym koło to przechodzi. Dobranoc ci.

— Co za ton uroczysty — rzekł Jan, zmuszając się do śmiechu—słuchając cię, myślałby kto, że idziesz pisać testament. Nie wierzysz temu, com ci mówił?

— Wierzę w twoją przyjaźń, pocziwy Jasiu! — odpowiedział Juljan. — Wierzę, że kosztem własnego spokoju i zdrowia radbyś mi dać spokój i zdrowie; ale nie wierzę w twoją maskę i w tego tam pana.

To powiedziawszy, ścisnął mocno jego rękę i poszedł. Jan go nie zatrzymywał, bo oczy jego zachodziły łzami, których nierad był przyjacielowi pokazać.

W takim to położeniu, w takim stanie umysłu

i serca znajdowały się te wszystkie osoby, którei chcielibyśmy czytelników naszych zainteresować.

#### IV.

Między innemi niedogodnościami wysokiej socjalnej pozycji, znanego i sławnego imienia, wyższych zdolności i jakiego bądź odznaczenia się i wyskakiwania nad poziom, jest i ta, że człowiek taki musi mieć koniecznie jednego lub więcej przyjaciół, którzy najczęściej przez głupstwo i niepojęcie świętego uczucia, jakiego przybierają tytuł, czepiają się go na każdym kroku tak, jak bodiaki czepiają się sukni tego, co się pomiędzy niemi przedziera, aby go za każdym z niemi zetknięciem się ukłuć i skaleczyć. Zdaje się, że każdy z takich przyjaciół, myśląc o tym, który się stał pastwą jego sentymentu, powiedział sobie w duszy: kochanku! póki ja żyje i jestem twoim przyjacielem, nie będziesz miał chwili pokoju i pożegnaj się ze snem i apetytem. To też, jeżeli to jest człowiek mający władzę, taki przyjaciel, ile razy przed nim stanie, albo twarzą i gościem, albo słowem, którego ważności nie czuje, rzuci mu do serca trwożę i goryczą myśli jego napełni. Jeżeli to jest znakomity pisarz lub artysta, taki przyjaciel szuka go, póki nie znajdzie, żeby mu co prędzej donieść, że o jego pracy to i to mówiono, że ten i ów, co się zna na tem dobrze, pod niebiosą wynosił jego współzawodnika, że on go broniał jak mógł, ale tamten kiwał głową i ramionami ruszał. Jeżeli to jest urzędnik, wyższy charakterem, nieskażony i śmiały w swoim postępowaniu, taki przyjaciel stanie przed nim z kwaśną i zdesperowaną miną, i powie mu: mój Boże! co to za ludzie! nawet na ciebie targają się, mówią to i to, ten i ten postępek twój przypisują takim powodom, na które ja oburzyłem się. Ale cóż z niemi poradzisz, kiedy słuchać

nie chcą! Słowem, każdy mąż, którego wyższość w społeczności stanowi piękna żona, każda młoda kobieta, której wyższość stanowią wdzięki, gust w toalecie i rozum w obcowaniu z ludźmi, każdy młody człowiek, na którego czole napisano, że może pójść daleko w zawodzie, jaki sobie obrał, musi mieć takiego przyjaciela, który jest jego kłeską, równoważącą jego powodzenie na ziemi, który się za nim wlecze, aby się nie zapomniał w swoim szczęściu, jak owa kula, przyczepiona do nóg więźnia, wlecze się za nim wszędzie, aby nie zapomniał, że jest niewolnikiem, i że na nim ciąży wyrok ludzkiego sądu.

Juljan, jako rzeczywście młodzieniec wyższy i charakterem i zdolnością i ukształceniem, miał także takiego przyjaciela, który wszędzie się go czepiał, którego on unikał, ale z którym wyminąć nie mógł, a odepchnąć go zupełnie od siebie nie miał serca i odwagi. Był to młody człowiek, znajomy mu jeszcze ze szkół. Brał się on także do pisania i niby admiraował Juljana w tych jego pracach, które znał, i za wzór go sobie położył. Ten wzgląd czysto literacki, a oraz wdzięczność za protekcję, jaką mu ojciec Juljana na prośbę syna udzielił i miejsce płatne wyrobił, były powodem, że młody ów człowiek, przez admirację talentu i charakteru syna i przez wdzięczność dla ojca, stał się takim przyjacielem naszego młodzieńca, o jakim mówiliśmy; i ile razy go złapał, zawsze mu coś takiego powiedzieć umiał, czego by ten nierad był słyszeć, lub o czemby wiedzieć nie powinien.

We dwa tygodnie po owym balu na ubogich, kiedy, jak powiedzieliśmy, wszystko zdawało się w domu radcy Sulejewskiego do dawnego przychodzić stanu, w niedzielę, o dziesiątej rano, młody ów człowiek postrzegł Juljana na Krakowskim-Przedmieściu, wychodzącego z kościoła Bernardynów. Co prędzej więc przebiegł całą szerokość ulicy, brnąc w błocie, wpa-

dając wyżej kostek w jamy z lodów jeszcze niezupełnie oczyszczonych, nie zważając, że go przejeżdżające karety i dorożki obryzgują, i gdy widział, że Juljan zwrócił się ku Zamkowi, chcąc zapewne przyjaciela swego uniknąć, zaczął biec kłusem, dopadł go i za poję uchwycił.

— Aj! najdroższy przyjacielu! — rzekł wówczas zadyszany — jak się masz? Szukam cię już od wczoraj; a do domu do ciebie iść nie chciałem, gdyż to nie taka rzecz, którąm ci w domu twoich rodziców, a zwłaszcza przy twym ojcu mógł powiedzieć. Jak to szczęśliwie, że cię tu spotkał.

Tknięty temi słowy i wiedząc z doświadczenia, że nic dobrego od niego nie usłyszysz, Juljan zadrzał, zbladł i zatrzymując się, rzekł:

— Cóż to takiego? jeżeli co o mnie, to daj pokój i zachowaj to dla siebie. Mnie to wcale nie obchodzi.

— Jak-to? — odpowiedział przyjaciel — więc nie domyślasz się, o co tu idzie? A widząc cię zmienionym i bladym, sądziłem, że już wiesz, co się zdarzyło twemu zacnemu ojcu, i o czem już tu i owdzie mówią.

— Memu ojcu? — zawołał Juljan przerażony. — Człowieku! gadajże prędko, co mu się zdarzyło? gdzie i kiedy?

— Bardzo to rzecz niemiła i krzywdząca — odpowiedział nieubłagany przyjaciel — chociaż ja utrzymywałem, że to być nie może, i kłóciłem się z nimi. Ale oni przysięgali się, że na własne uszy słyszeli, i o kilka kroków na tym balu na ubogich, pamiętasz, stali od tego miejsca, gdzie się ta brzydka awantura zdarzyła.

— Na balu na ubogich? rzecz krzywdząca mego ojca? brzydka awantura? O, mój Boże! — wołał biedny Juljan, łamiąc ręce i patrząc na młodego człowieka, który spuścił oczy i pobożnie wzdychał. — Ale któż

to ci mówił? kto się przysięgał? kto stał o kilka kroków? i co się tam stało? Na miłość Boską, mówże przynajmniej prędko i krótko. Ale chodźmy stąd — dodał, porywając go za rękę i odprowadzając go na bok ku dzisiejszemu Zjazdowi. — Tu ludzie przecho-  
dzą, tu kto usłyszy, a to musi być coś okropnego, jeżeli nie kłamiesz i nie wykomponowałaś sam, żeby mnie dreczyć.

— Wstydz się — odpowiedział młody człowiek, idąc śpiesznie za Julianem — takżeś mi wdzięczny, żem leciał jak warjat, brnąc po kolana w błocie, żeby cię dopędzić i powiedzieć ci, co do mnie doszło i czemu wierzyć nie mogłem: ale co na nieszczęście tak jest, bom to już w dwóch miejscach słyszał. Tylko, że jedni mówią tak, drudzy trochę inaczej; ale czy tak, czy owak, zawsze to niegodnie. A choćby i nie było kopnięcia nogą, jak jedni utrzymują, to zawsze dla tak szanownego człowieka, jak twój ojciec, krzywdą nie miała, kiedy go kto publicznie nazwie starym durniem, i jeszcze doda: — precz mi stąd zaraz!

Juljan chwycił za barki przestraszonego głupca, który się mocno zdziwił, że mu tak jego przyjaźń i gorliwość płacą. Wkrótce jednak opamiętawszy się, że jest na ulicy, puścił go i głuchym głosem zapytał: — Któż to tak śmiał ojca mego shańbić? czy wiesz?

— Tego to nie wiem — odpowiedział — ba! ba! ba! żebym wiedział, nie taillbym pewnie przed tobą. Ale to wiem, że to był jakiś słuszny mężczyzna, w masce i w kapeluszu, który prowadził na bal dwie ładne maseczki, i najprzód tracił twego ojca, jakby mu stał na drodze, a potem krzyknął: — spać, stary durniu! a nie włóczyć się po maskaradach! precz mi stąd zaraz! — a jak inni dodają, że go jeszcze nogą kopnął. Do jakiego to zuchwalstwa doszło! Tak poważanego i szanowanego człowieka z błotem zmięszać!

ale, jeszcze i to dodają, że te dwie maseczki zaśmiały się głośno, gdy twój ojciec osłupiał i na razie nic nie odpowiadał; że ten jegomość wyprostowawszy się, poszedł sobie ze swemi towarzyszkami i przepadł w tłumie, a obecni, którzy to słyszeli, zaczęli powtarzać jego słowa, i naturalnie jedni ganili, drudzy się śmieli i drwinkowali, że mu to tak płazem uszło.

Juljan, oparty o słup rewerberu, stał jak skamieniały; ale gdy przyjaciel dodał: — Moznaby jednak dojść, co to był za jeden — porwał się z miejsca, chwycił go za rękę i prędko zapytał:

— Można, mówisz?

— Gincer coś przebaknął, że się domyśla, co to za ptaszek — odpowiedział usłużny młodzieniec.

— Gincer? — powtórzył Juljan — Gincer z naszego biura?

— Ten sam.

— Więc i oni już wiedzą? O mój Boże! — zawołał wówczas nieszczęśliwy syn, w którego myśli odmalowało się położenie ojca, jego boleść, jego wstyd, jego wszystkie walki, aby żonie i dzieciom shańbienia swego nie dał poznać. I wtedy wytłómaczył sobie wszystkie okoliczności tego fatalnego dnia, wszystkie trwogi, których wówczas nie pojmował, a które teraz rozjaśniły się, jakby błyskiem piorunu, który mu także i jego dalszą drogę oświecił. Ścisnawszy więc konwulsyjnie rękę młodego człowieka, który przez głupstwo i złość, jaka zawsze w głupstwie tkwi, chociaż często sama siebie nie zna, zabił spokój tego, czym mienił się przyjacielem, rzekł:

— Słuchaj! czy możesz mi jedną zrobić przysługę?

— Czyż nie znasz mojej przyjaźni? — odpowiedział młodzieniec z gotowością.

— A, jakto nie znam! albożes mi nie dał jej dowodu? — odpowiedział Juljan, zaciskając zęby i pa-

trząc na młodego człowieka tak, że aż się cofnął. — Jednak jeszcze jednego od ciebie żądam. Dowiedz się, co to był za jeden. Czy przez Gincera, czy przez innych, co ci mówili, czy przez kogo chcesz, ale dowiedz się koniecznie, i prędko.

— Pojmuję, jak cię to obchodzi — odpowiedział tamten — bo też to taki fatalny wypadek, którego nie należy zostawić bez wyjaśnienia, jaki powód mógł dać twój ojciec komuś do takiego zuchwalstwa i takiego pokrzywdzenia.

Juljan ścisnął pięść i chciał mu nią podziękować i za doniesienie i za tę ostatnią uwagę, ale się zmiarkował i odpowiedział tylko:

— Już to się wyjaśni, tylko się dowiedz. — Ale idź zaraz, teraz, rozumiesz?

Te ostatnie słowa wymówione były takim głosem, z takim wyrazem twarzy i oczu, że młody człowiek struchlał, i choć może nie wiedział dobrze co zrobił, widząc jednak, że już dalej rozmowy tej ciągnąć nie wypada, dodał:

— Bądź zdrów, Juljanie! do widzenia, kochany przyjacielu! spuść się na mnie i bądź spokojnym.

I poszedł prędko, oglądając się kiedy niekiedy na stojącego na miejscu Juljana, kiwając głową i mrużąc:

— Biedak! jak go to obeszło! ba! Nie ma się co dziwić, zawsze to ojciec, a to sprawa honorowa. Szczęśliwie, szczęśliwie się stało, zem go spotkał!

Juljan w rzeczy samej został na miejscu, bez ruchu, bez żadnej jasnej myśli, bez żadnego wyraźnego postanowienia. Zdawało mu się, że krew w nim zastygła i życie ucieka z piersi. Słyszał jednak, że mu pulsa biją w skroniach, a w głowie powstał zamęt, który mu wszystkie zewnętrzne przedmioty i wszystkie wyobrażenia spletał i pomięszał. Całe Krakowskie-Przedmieście z Zamkiem, z kolumną Zygmunta, z wyglądą-

jącą wieżyczką Ś-go Jana, z licznymi oknami kamienic, krążyły przed jego okiem, a w głowie jego snuły się i trącały jeden o drugi obrazy: Oresta śpiącego w świątyni w Delfach i zbliżających się do niego furji z pochodniami; masek na balu, popychających jedna drugą; trumny na wozie i idącego za nią starca z pochyloną głową; ojca, który zakrywa czoło swe splamione; matki i siostry w żałobie, a pomiędzy temi wszystkimi obraz Cesi, bladej jak marmur, łamiącej rączki i tulącej się do wszystkich. Gdy jednak postrzegł, że przechodzący zatrzymują się przy nim i przypatrywać mu się zaczynają, opamiętał się nieco, zwrócił się na lewo i szedł, sam nie wiedząc, dokąd się udać. Zrównawszy się z Bernardynami usłyszał organ i rozlegającą się w kościele pieśń: Święty Boże! Święty mocny! Te tony poważne i wzniosłe orzeźwiły go cokolwiek, rozsunęły pomrokę zakrywającą przed nim następne chwile, i pociągając go ku sobie, skłoniły, że wszedł znowu do kościoła, dostał się do kaplicy Loretańskiej, gdzie nie było prawie nikogo, i tam usiadłszy w kącie, zaczął myśleć spokojniej, porządniej, potem ukląkł, i gdy organ brzmiał na kościele i pieśń nie ustawała, zaczął wreszcie modlić się i płakać.

Jan tej nocy spał doskonale, obudził się rzeźwym i zdrowym, uściskał i poswywolił z swoją młodą gosposią, która mu wybornej zgotowała kawy, wyprawili ją potem z panną Honoratą do kościoła, a mając obstalunek, który mu za niewielką pracę pareset złotych zapewniał, ubrał się w ciemną bluzę, nałożył na głowę czerwoną aksamitną czapkę, odbijającą pięknie od czarnych jego włosów, i korzystając z niedzieli, która mu pozwalała cały dzień zostać w domu, świszcząc usiadł do stalugi. Troska jego zacierała się stopniami, a dziś, niewiadomo dlaczego, jakby zapominał zupełnie o nieszczęściu swoich przyjaciół,

które go równie głęboko, a nawet głębiej i dotkliwiej niżby jego własne dotknęło. Jak wiele rzeczy w naturze, tak i te fazy naszego umysłu i serca nie zawsze wyłómaczyć się dają. Czasem, ni stąd ni zowąd, najsunie się chmura, która zasepi cały horyzont myśli; niepojęta tęsknota legnie na sercu i zbudzi w niem jakieś przecucia i trwogi; czasem znowu czoło wy-pogodzi się zupełnie, także nie wiedzieć dlaczego, słowa się rozjaśni i rozświeci, i pierś oddycha swobodnie, jakby nabierała skądś pewności długiego i niezachwianego szczęścia. Jedno i drugie przemija predko, z tą jednak wielką różnicą, że owe posępne chmury przechodzą najczęściej bez ulew, odkrywają zwyczajny błękit i pokazują, że przecucia były bezzasadne i trwogi nie miały sensu; ale ten spokój nagły jest zawsze niebezpiecznym, a ten zbyteczny umiśr życia zawsze jest chytrym i zdradzieckim. Jan był zanadto młodym, za mało miał doświadczenia, aby mógł o tem wiedzieć, i w tym uśmiechu dzisiejszego dnia, który go tak wdzięcznie powitał, przewidywać podstęp i zdradę. Pracował więc zżwo i marzył o tych dalekich chwilach, kiedy taka błoga spokojność, jaka go dziś otoczyła, przerwana będzie śmiechem i szczebiotaniem Antosi, a czoło jego odwróci się od sztalugi nato tylko, aby go usta jej dotknęły.

Wtedy drzwi się otwarły i wszedł Juljan. W całej jego postaci, w jego twarzy i wejrzeniu wryte było wszystko to, co przez tę godzinę czuł i pomyślał. Jan przeraził się, wszystkie jego marzenia jak sen ulotny znikły, cała jego spokojność zgasła raptem, jak jakie światło, na które wiatr niespodziewany dmuchnie; zapomniawszy w mgnieniu oka o sobie, i taki ból go ścisnął, że siedział na miejscu, wpatrzwszy się w miłego sobie młodzieńca i słowa wymówić nie mógł. Juljan zbliżył się milcząc, wziął sobie krzesło, usiadł naprzeciw niego i obejrzawszy się niespokojnie, zapytał:

— Gdzie Cesja?

— Jeszcze nie wróciła z kościoła — odpowiedział malarz, nie spuszczać z niego wzroku.

— To dobrze — rzekł Juljan — możemy pomówić. Janie! — dodał, wyciągając rękę i ściskając mocno podaną sobie dłoń. — Przypominasz sobie naszą rozmowę u Marego przed tym balem, na który przyszedłem za późno.

— No, cóż? przypominam sobie — odpowiedział Jan, błędąc.

— Mówiłem ci wówczas — ciągnął dalej Juljan — o wrażeniu, jakie na mnie sprawił Orest Eschylesa i jego przeznaczenie. Mówiłem ci o tej dziwnej trwodze, jaką mi dał pogrzeb, którym spotkał na Nalewkach. Nazywałeś to wszystko przywidzeniem i poezją. To była prawda, mój poczciwy Jasiu! to był głos, którego nie rozumiał, a który teraz pojmuje.

— Ale ja ciebie nie pojmuje — rzekł Jan, odwracając się dla ukrycia swej twarzy i kładąc na stolik paletę i pędzle.

— Pojmiesz — dodał Juljan — gdy ci powiem jeszcze, że wiem, dlaczegoś i ty całą resztę nocy po owym balu nie spał, dlaczegoś nazajutrz miejsca sobie nie mógł znaleźć, dlaczego skomponowałeś tę bajeczkę o masce, która cię intrygowała i o tym panu, któregoś potrafił. Tyś kłamał dla przyjacieli, mój dobry Janie, a tymczasem ja znalazłem takiego przyjaciela, który mi powiedział wszystko.

— Cóż to za szelma taki? — krzyknął malarz, porywając się z miejsca, a postrzegłszy zaraz, że się złapał i już nie będzie się mógł wykręcić, aby mu nie powiedział tego, co mu było wiadomem, łamał sobie ręce i w rozpaczy chodził po pokoju. Juljan zbliżył się do niego, wziął jego obie ręce i mocnym głosem zapytał:

— Janie! i ty widziałeś to?

— Czyżby się ta rzecz była tak skończyła, gdybym był przy tem? — rzekł Jan i oczy jego zabłyśły gniewem i oburzeniem.

— Prawda! — zawołał Juljan — tybys był wpadł na zuchwalca, zdarł mu maskę i przyprowadził go do mnie. — A potem, rzucając się na szyję przyjaciela, z rykiem przerażającym dodał: — O! Janie! Janie! dlaczegom ja tam nie był!

Jan utulił go w objęciu, pozwolił mu wypłakać się, sam z nim zapiakał, a gdy się obaj cokolwiek uspokoiłi, rzekł:

— Siadź-no Julku! i pomówmy o tem, jak mężczyźni. Co się stało, stało się, i żadna siła ludzka nie zdoła wydrzeć tej chwili z waszego życia, na które ona wpłynąć musi. Myślałem zrazu, że potrafię przed tobą to nieszczęście utaić; z twarzy ojca twego widzę, że to także jest teraz jedyna myśl, jedyne żądanie, jedyne dążenie jego życia. Ale to trudno. Krzywda była zanadto jawna, zanadto publiczna, świadków Bóg wie jakich było pełno; otóż i znalazł się taki czy głupiec, czy niegodziwiec, który nie miał nic pilniejszego, jak przybiec do ciebie z językiem i ugodzić w serce takiego syna shańbieniem takiego ojca. Perswadować ci nie myślę, radzić co masz począć, nie potrzebuje. Na to jest głos tu, równie we mnie, jak i w tobie, jak i w każdym, kto nie jest mniej niż człowiekiem, a nie może być aniołem. Ale zastanów się nad tem, jak wrócisz dziś do domu? jak z tą myślą, która leży jak wół na twojem czole, staniesz przed rodzicami?

Juljan załamał ręce, położył je na czole, stał tak przez parę minut, jakby mierzył całą głębią tej przepaści, nad którą raptem stanął i w którą skoczyć musi, potem, biorąc rękę przyjaciela, rzekł:

— Pokonam się. Nie obaczą co się święci, nie domyślą się, co zrobić powinienem i co zrobię. Ale

powiedz-że mi teraz wszystko, jak było, i jakieś się ty dowiedział?

Jan widząc, że już nie ma środka odwrócić klęski, a zatem nie ma potrzeby ukrywać przed nim ani okoliczności zdarzenia, które mu były wiadome, ani domysłu swego o sprawcy tej obelgi, której skutki mogły być tak okropne nietylko dla jego przyjaciół, ale i dla niego, powiedział mu wszystko. Wtedy Juljan zaczął chodzić po pokoju, zaczął rozmyślać o środkach, jakby się przekonać, czy to rzeczywiście pan Wiktor jest sprawcą nieszczęścia, które mu zagrażało; a im bliższym się widział rozwiązania tego węzła, który musiał być, bądź co bądź, rozwiązany lub rozcięty, tem śmielsze były jego kroki, tem bardziej na męskie jego oblicze występowało niezachwiane postanowienie, tem widoczniej na jego czole zacierały się ślady pierwszego wrażenia, z jakimi jeszcze przyszedł do przyjaciela, a z jakimi nie mógłby się w żaden sposób pokazać ani ojcu, ani matce. Wprawdzie widział on cały ogrom nieszczęścia, jakie na dom jego spadnie, jeżeli w tej śmiertelnej walce, do której się gotował, on będzie ofiarą; ale czując oraz, że nie mógłby żyć ani godziny, gdyby żałobą, jakaby się okryli jego rodzice, dał się odstraszyć od wypełnienia powinności syna; gdyby wiedząc o hańbie ojca, udawał, że o niej nie wie, i nie starał się jej obmyć we krwi zuchwalca; czując, że w takim razie nie śmiałyby podnieść spodłonego czoła, że mu wstyd i sumienie nie pozwoliłyby podać ręki żadnemu uczciwemu człowiekowi; widząc się postawionym między dwoma nieszczęściami, z których pierwsze było niezასłużone, niekrzywdzące, gdy się jego śmiercią dopełni, a drugie niemniej wielkie, a podwojone wżgardą tych, którzyby się dowiedzieli o krzywdzie ojca i podłości syna; wybrał pierwsze, i wybrał z taką odwagą, z taką potęgą woli, iż postanowienie to wybiło się na jego twa-

rzy i dało jej tak męski spokój i powagę, że widok ten zadziwił Jana i jeżeli go co w tej chwili ucieszyć mogło, prawdziwie go ucieszył i wzruszył.

— O mój Julku serdeczny! — zawołał wówczas zacy młodzienc, przypatrując się z dumą przyjacielowi — lzy mi się cisną do oczu, gdy patrzę teraz na ciebie i widzę, coś ty przebył i jak znosisz i zniesiesz ten cios, którym podobało się Bogu dotknąć cię tak boleśnie. Gdyby teraz nawet twoja matka na ciebie spojrziała, jakkolwiek przenikliwa, nie odgadłaby, co jest w twojej duszy.

— Nie mówmy o tem — rzekł Julian prawie spokojnie — powiedziałem ci, że się pokonam i pokonam się. Konieczność jest także jednym z dobrodziejstw, które niebo dało ludziom. Gorzej jest, kiedy myśli tłuką się z sobą, a człowiek nie wie do której przylgnąć; kiedy może jeszcze wybierać, a czuje, że i rozum jego niedoleźny i niedoleźna wola, że i nie wie co wybierać i wybrać nie śmiejąc, waha się nad przepaścią, jak wisielec na szubienicy. Moja droga jedna, zboczyć z niej ani na prawo, ani na lewo nie mogę; nie mam więc już co o tem rozmyślać, a desperować!... cóż to pomoże? Ale, mój drogi Janie, im krótszą będzie ta droga, tem mi będzie lżej i lepiej; bo czujesz to dobrze, że żadna odwaga nie wytrzyma na niej długo, i jeśli się przeciągnie, złamać się musi i upaść. Pomóż mi więc jak najprędzej przekonać się, czy to rzeczywiście on? abyśmy zaraz skończyć z sobą mogli.

— Ale jak? — zapytał malarz.

— Jak? — odpowiedział Julian — pomyśl. Były z nim dwie maski. Jedną z nich, ile sobie przypominam, nazywał Florcją i on i jego towarzysz. Co to za kobiety, domyśleć się łatwo. Która z nich Florcja, także dojść można. Jeżeli więc zechcesz pomóc mi w tem, to potrafiśz z niej zrecznie wybadać, czy to ona była na balu w kompanji tego pana Wiktora, i czy wi-

działa, jak się tam znalazł. Jeśli nie wypaple wyraźnie, o czem nie wątpię, byleś mówił z nią bez gniewu i oburzenia, ale zdradzi się zmieszaniem, uśmiechem lub czem bądź, wtedy pójdz prosto do tego zuchwalca, który nie musi być tchórz, powiedz mu, o co go posądzasz, a on pewnie przyzna się do płochości, której może nawet nie uważa za zbrodnię, jaką jest w rzeczy samej. Wtedy wyzwij go w mojem imieniu, i będzie prędko koniec. A trzeba, mój drogi Janie — dodał tuląc jego rękę — żeby było prędko, bo jedno z dwojga: albo mi tu co pęknie, albo w głowie mojej spłacze się wszystko, co tam Bóg złożył, co wychowanie rozwinęło, co własna praca starała się rozjaśnić i uporządkować!

Jan pomyślał chwilę, pochodził, zapalił cygaro, wkrótce zgryzł je, złamał między palcami i rzucił, a spojrzawszy na przyjaciela, który śledził każde jego poruszenie, drżał i bladł, bojąc się, aby nie odmówił, przystąpił do niego, wyciągnął rękę i rzekł:

— Julku! ty uwierzysz temu, co ci powiem. Oto, gdybym mógł odwrócić od ciebie ten cios, który ci grozi, Bogiem się świadczę, żebym to zrobił. Stałbym na twojem miejscu, i poruczywszy twemu przywiązaniu moją biedną Cesię, oddałbym wam życie, które niewiele warte i dla mnie i dla drugich.

— Cóżby mi to pomogło? — przerwał Julian uśmiechając się — jeden wyrzut więcej i wiele łez więcej; a hańba hańbą, a wstyd wstydem, tylko dwa razy cięższy. Nie myśl o tem, Janie, a raczej pomyśl, abyś jak najprędzej wykonał, o co cię proszę. To będzie prawdziwszy dowód twej przyjaźni, bo mi przyniesie ulgę, czy w zemście, czy w śmierci.

— Niech się więc stanie, co się stać ma. Jutro będziesz wiedział wszystko — mówił Jan, podając mu rękę.

— Dziękuję ci — rzekł Julian, ściskając ją; po-

tem spojrzawszy na otwarty i zyciutki pokoik Cesi, odwrócił się, otarł nieznacznie łzę, która się do ocz jego nacisnęła, i dodał: — A przychodźcie dziś z Cesią na obiad do nas. Tylko bądź wesołym, Janie! przygotuj się na te koncepta, które tak bawią Antosie, które nawet rodzicom moim podobają się. Wszak i to jest heroizm śmiać się z rozdarciem sercem, i mając przy sobie z jednej strony śmierć, a z drugiej rozpacz, udawać, że ich nie widzisz, aby nie dostrzegli ci, których kochasz.

Tak się z sobą rozstali, umówiwszy się, o której godzinie jutro zejść się mieli pod kolumnami Teatru.

Jan prędko się dowiedział, kto była Florcia, gdyż w owym czasie młodzież nasza nie kryła się ze swą rozpustą, owszem, jakby szukając z niej chluby, nie tała swoich bogiń ani przed publicznością, ani przed krewnymi, ani przed sługami. Ten sam kelner Marego, od którego Jan dowiedział się o nazwisku i przymiotach pana Wiktora, poczęstowany rubelkiem, powiedział mu, kto jest panna Flora, jak się nazywa i gdzie ma apartamencik umeblowany, jakby pokoje jakiej księżniczki. Udał się więc Jan na Nowy Świat, a nie zastawszy pani w domu, dał znowu rubelka służącej, prosząc, aby uwiadomiła pannę Florę, że przyjdzie o piątej, że ma jej do zakomunikowania rzecz bardzo ważną, której się nie spodziewa, a która ją niezmiernie ucieszy.

— Czy pan zna pana Wiktora? — zapytała służąca, która nie widziała potrzeby tać przed nieznanym stosunków swojej pani, o których wszyscy wiedzieli. — Może to co o nim?

— Być może, że i o nim, ale i jeszcze o kimś — odpowiedział Jan z uśmiechem. — Wszak twoja pani była na tym balu maskowym, który dawano dla ubogich, pamiętasz?

— Naturalnie, że była — rzekła służa — ale była

z panem Wiktorem i panną Leontyną, nawet tu czekały na niego obie, a gdy przyjechał już dosyć późno, ubrałyśmy go w domino i tak we troje pojechali.

— Otóż widzisz — mówił Jan, ukrywając wrazenie, jakie te słowa na nim zrobiły — ten ktoś był tam także i on mnie tu przysyła.

— Cóżby to było? — zapytała dziewczyna, której oczy zaiskrzyły się.

— To, moja panienko — odpowiedział Jan — z czem i tobie będzie dobrze. Tylko przy panu Wiktoremie nie mów pani o tem, o co cię proszę.

— Oh! czy to ja nie wiem? Nie bój się pan — dodała z pewną dumą — nie takie ja niewiniątko, jak pan sobie myśli.

— Ja też tego nie myślę wcale — odpowiedział młody człowiek ze wstrętem, który pokrył — dość spojrzeć ci w oczki, aby poznać i rozumek nielada i doświadczenie, jak się rzeczy robią na świecie.

— Czy pan nie powie mi, kto pan taki?

— Teraz nie — odpowiedział Jan — ale prosz tylko pani, żeby była między piątą i szóstą w domu, i żeby była sama, a dowiesz się. I wówczas poznamy się i my bliżej.

— Dobrze, spuść się pan na mnie — rzekła dziewczyna, uśmiechając się — i rozeszli się.

Jan poszedł prosto Nowym Światem, a potem w Aleje, aby się orzeźwić i przygotować dla pokazania się najprzód przed Cesią, a później w tym domu, na który chciałby wszystkie łaski nieba, wszystkie powodzenia ziemi ściągnąć, a któremu chcąc nie chcąc gotował łyzy, śmiertelną trwożę, a może i wieczną żalobę. Gdy się uczuł umocnionym i zrezygnowanym, wrócił do siebie, wszedł do pokoju świszcząc, asystował przy toalecie Cesi, sam jej zawiązywał sukienkę, poprawiał loczki, i ubrawszy się starannie, gdy było w pół do drugiej, poszedł do państwa Sulejewskich.



Zastał ich z twarzą wypogodzoną, a Juljana niby poprawiającego rysunek Antosi, który umyślnie psuł, żeby było o czem mówić, i dać powód siostrze do uskarżania się przed Janem, a Janowi do perswazji i uwag takich, któreby mogły wszystkich rozśmieszyć i rozweselić.

Nim siedli do stołu, miał czas Jan szepnąć przyjacielowi, że Florcia jest i obaczy się z nią po piątej. Ten mu odpowiedział nieznacznie, że o samej siódmej będzie przy kasie teatralnej. Obiad przeszedł na rozmowie zwyczajnej, ożywionej, czasem nawet wesołej; a choć Juljan widział, że dobry humor Jana jest gorączką, nie wesołością, a Jan czuł to dobrze, że śmiech Juljana, którym mu za jego wysilenie płacił, jest raczej konwulsją piersi, ściśnionej śmiertelnym bólem, niż radością swobodnego serca; ale nikt tego nie postrzegł, a ta moc duszy, jakiej obaj dali dowody, podwoiła ich wzajemny szacunek, i przyjaźni ich dała taką świętość, taką utwierdziła ją mocą, że tylko grób mógł być jej doczesnym kresem, za którego granicami znowu się zawiązać i tam wiecznie trwać miała.

Nie będziemy długo utrudzać czytelników naszych szczegółami rozmowy Jana z panną Florą, ani opisaniem tej sławnej w swoim czasie heroiny, jej postaci, jej charakteru i jej apartamentu. Kiedy w stosunku między mężczyzną i kobietą nie ma ani krzty serca, ale tylko zmysły, to wtedy wszystko musi odpowiadać programatowi, zawczasu z jednej i drugiej strony ułożonemu. Pan Wiktor, zrazu ulegając ówczesnej modzie, a potem nałogowi i stopniowemu zezwierzęceniu swej natury, żądał ciągłej i coraz nowszej uciechy, a panna Flora zastosowała do tego swe wejście, swój głos, swój strój, swe mieszkanie, każąc, rozumie się, płacić sobie dobrze za każdy umizg, za każde poruszenie, które coraz wzrastającemu pragnieniu rozpustnika odpowiadało. Łatwo więc domyśleć

się, jakimi były te pokoiki, w jakim stroju i z jakimi minkami przyjęła Jana, tem bardziej, że wprowadzona w ciekawość relacją sługi, wyobraziła sobie, że to musi być emisariusz jakiejś znakomitej osoby, jakiegoś Krezusa opływającego w honory i dostatki, po którego wszystkich kieszeniach i szufladkach już w bujnej imaginacji swej plądrowała.

Jan, którego nie odurzył wcale widok tych aksamitów, tych cacek bez liczby, tych zwierciadeł odpowiednio do celu pozawieszanych, tych sztychów, w których wyborze widać było, dlaczego się tam znajdowały, tych kwiatów, których woń także służyć musiała do tego, do czego służyło wszystko, przystąpił zimno i ze źle utajonym wstrętem do dziewczyny wcale nie brzydkiej, wyciągniętej powabnie na aksamitnym szeszlażu, ale zeszpeconej tym wyrazem bezwstydu i śmiałości, jakim twarze takich kobiet rzemiosło ich piętnuje. Pragnąc więc jak najprędzej wydobyc z niej, czego się chciał dowiedzieć, zręcznymi zapytaniami jeszcze bardziej wprowadził ją w ciekawość; przywiódł ją, że najprzód przyznała się, że była na balu w kompanji pana Wiktora i towarzyszki swej Leontynki, że wszystko troje byli w maskach; i tak spowiadając się z każdego kroku od samego wejścia i ze wszystkich wrażeń jakich doznała, gdyż ją o to prosił pod tym pozorem, że to do rzeczy, o której ma mówić, istotnie należy, uwiadomiła go: że najpierwej jeszcze na schodach zadziwiła ją mina jednego pana, którego dawniej, gdy miała dopiero szesnaście lat, znała dobrze, jak mu wspomniła o awanturze z jedną damą, gdzie miał więcej wstydu niż uciechy; że potem we drzwiach pierwszej sali zaczęła innego pana, któremu powiedziała: *znam cię, który chciał ich za trzymać, ale mu pan Wiktor burknął: — ruszaj pan swoją drogą* — i ten poszedł jak zmyty: że dalej przy kolumnach stał jakiś stary jegomość, że go Wiktor

naprzód mocno trącił, a potem powiedział mu jakieś głupstwo i kazał wyjść precz, z czego zaśmiały się obie na głos, tak zabawna była mina starego, który osłupiał i ani słowa nie mógł wymówić; że później przeszedłszy prędko przez salę, poszli prosto do buletu, bo były głodne i tam w oddzielnym zamknęły się pokoiku, gdzie zastały już Zosię i Marynię z dwoma panami, z których jeden z Podola, bardzo bogaty i mający nawet zamiar ożenić się z Marynią, częstował ich wyborną kolacją i szampanem; że dopiero potem, posiliwszy się...

Ale wtedy Jan powstał, i rzekł:

— Dosyć już tego, dosyć. Już mi więcej nie trzeba.

— Jakto? to pan nie masz mi nic więcej do powiedzenia! — zawołała zadziwiona i podnosząc się równemi nogami.

— Zupełnie nic. Powiedziałaś mi już, moja panielko, wszystko, czegom żądał — rzekł Jan serjo.

— A tenże ktoś, co tu pana przysłał? — mówiła, idąc za nim prędko, z zaiskrzonymi oczami.

— Radzę ci, żebyś sobie tego ktosia poszukała sama, bo z panem Wiktozem może się zerwać — odpowiedział Jan, śpiesząc ku drzwiom wychodowym.

— To pan dureń! — krzyknęła rozszłoszczona Nimfa — kiedyś sobie ze mną tak podle postąpił.

Jan słyszał wprawdzie, jakim go uraczyła epitemem, ale już był na schodach, i chociaż ciężko zmartwiony takim wyjaśnieniem rzeczy całej, a zatem taką bliskością katastrofy, nie mógł się nie uśmiechnąć z goryczą na tę myśl, jakiego to wychowania i rozumu są kobiety, z którymi młodzież nasza trawi dnie i nocę i dla których poświęca zdrowie i majątek.

Nazajutrz już od godziny dziewiątej rano, Jan opatrzonego biletu Juljana i swoją kartę, z oznaczeniem ulicy i numeru swojego zamieszkania, czatował

przy stacji pana Wiktora, aby gdzie nie wyszedł. Dopiero o kwadrans na jedenastą wpuszczono go do pokoiów młodego jedynaka, na którego głowę waliły się krocie wszędzie, jakby wiedziały, że je rozpuści po świetle i pod zamkiem pleśnieć im nie da. Mieszkanie jego było zwyczajnym apartamentem kawalerskim, wcale nieokazałe i niebardzo nawet porządnie i czysto utrzymane, gdzie Jan postrzegł kilka stolików do kart, dość cybuchów i pudełek z cygarami, wiele gazet francuskich i takichże książeczek, porozrzucanych w różnych miejscach, a w jednym kącie wiele i pięknej broni. Stolik na środku pokoju nakryty był do śniadania i dwóch paniczów leżało z cygarem w ustach i z gazetą w rękę, jeden na szeslażu, drugi na obszernym fotelu. Gdy Jan wszedł i oglądał się wokoło, jeden z nich rzekł:

— Pan Znoński w ten moment wyjdzie, niech pan tymczasem siądzie.

Usiadł tedy Jan i czekał. Wtedy jeden z młodych ludzi rzucając cygaro, które widać źle paliło się i biorąc nowe, rzekł do kolegi:

— Ależ Wiktor, który się w czepku urodził, i któremu wczorajsza śmierć stryjaska daje okrągły milionik, mógłby mieć lepsze cygara.

— Będą lepsze — odpowiedział drugi z ironją — kiedy jeszcze ciocia udobrucha się i napisze nowy testament, na miejsce tego, który rozdarła.

Jan przypomniał sobie rozmowę u Marego i poznał tych młodych ludzi. Byli to serdeczni przyjaciele pana Wiktora, których on karmił i poił. Właśnie, gdy taką robił uwagę i gdy obawiać się zaczynał, aby niespodziewana śmierć stryja nie była powodem panu Wiktorowi do odłożenia na dalszy czas rozprawy, czegoby Juljan w tak gorączkowym stanie, w jakim się obecnie znajdował, wytrzymać nie mógł, wszedł pan Wiktor z wesołą i śmiejącą się twarzą,

w bogatym szlafroku, w aksamitnej czapeczce ze złotym kwastem, w haftowanych złotem i jedwabiami pantoflach. Obejrząwszy się po obecnych i spostrzegłszy Jana, przystąpił do niego i rzekł:

— Pan Zarucki?

— Nazywam się Jan Zarzycki — odpowiedział młodzieniec, i także parę kroków naprzód postąpił.

— Więc pan Zarzycki ma do mnie ważny interes? — zapytał przypatrując mu się z uwagą.

— Bardzo ważny, panie Znoński — odpowiedział Jan, odplacając mu taką samą monetą i przypominając mu także, jak się nazywa, jak to zwykle u nas czynią panowie, mówiąc do niższych, a pewna klasa dorobkiewiczów, mówiąc do wszystkich.

— Jeżeli tak, to proszę usiąść, a ja wezmę się do śniadania, — rzekł pan Wiktor, ukazując krzesło Janowi i nalewając sobie herbatę. — Pan Zarzycki już zapewne po śniadaniu!

— Ja wstaję trochę wcześniej — odpowiedział Jan.

— A, bo panu nie umiera stryj bezdzietny ni stąd ni zowąd, w samą porę — mówił pan Wiktor żartobliwie — i nie zostawia panu takich kłopotów, jakie mnie zostawił. Całą noc nie spałem.

Obecni dwaj panicze w głos się zaśmieli, a pan Wiktor dodał:

— Widzi pan, śmieją się z mojej biedy. W takim dniu mojej żałoby i smutku! Otóż to tacy są nasi przyjaciele.

— Gdybyś pan tych milionów, które mnożą się spadkami — rzekł Jan serjo — lepiej używał, tobyś miał innych.

— A, a!... — rzekł pan Wiktor marszcząc się. — Czy pana tu moja ciotka przysłała z morałem?

— Nie znam pana Ciotki — odpowiedział Jan — zupełnie od kogo innego przychodzę i z czem innym.

— Pocóż tedy? — mówił dalej młody człowiek,

gładząc wąsy — czy nie z żądaniem jakiej satysfakcji? Co? bo mi pan coś masz minę wyzywającą.

— Nie mylisz się pan — odpowiedział Jan stanowczo.

— O mój dobrodzieju! — rzekł wówczas pan Wiktor — niechże ci Bóg płaci, żeś z tak dobrą nowiną do mnie przyszedł. Mówiłem wam — dodał obracając się do kolegów — że mi się dziś coś szczęśliwego zdarzy, tak mnie wczorajsza śmierć mojego najdroższego stryjaszka usposobiła. Doprawdy, tak mnie pan ucieszyłeś, że gdybym się nie bał, że mi herbata ostygnie, tobym pana uściskał. Bo trzeba, żebyś pan wiedział, mój kochany panie Zarucki, że trzy są rzeczy na ziemi, które namiętnie lubię: bezdzietnych krewnych, kiedy w porę umierają, ładną kobietę, kiedy umie kochać, i dobrego przeciwnika, który nie tchórzy i dostoi mi placu. Jak się panu przypatruję, sędzę, że pan nie zemkniesz. Co? Ale czy pan od siebie przychodzisz? — dodał, smarując rogalik masłem i patrząc mu w oczy z uśmiechem lekceważenia i jakiegoś cynizmu, który wszystko ma za nic, nawet życie.

— Przychodzę od mojego przyjaciela — rzekł Jan — którego ojcu wyrządziłeś pan obelgę, tem haniebniejszą dla pana, że wyrządzoną była pod maską, i żeś pan nie wstydził się skrzywdzić publicznie bezsilnego starca, który nie mógł panu na razie zredrzeć tej maski, pod którąś się schował i zapłacić na miejscu za nieuszanowanie wieku i siwych włosów.

— Tłómaczysz się pan bardzo dobrze, mój panie Zarucki — odpowiedział pan Wiktor, maczając rogalik w herbacie i patrząc na Jana tak, iż widocznem było, że gniew i burzenie się krwi w sobie hamował — widać, żeś pan młodzieniec śmiały i energiczny, i wielka szkoda, że pan nie od siebie przychodzisz do mnie, bo miałbym wielką satysfakcję pokazać panu, że nie

potrzebuję chować się pod maskę, aby z każdym, czy młodym, czy starym postąpić tak, jak zasługuje, lub jak mi się podoba, stosownie do humoru, w jakim jestem.

— Jeżeli o to idzie — odpowiedział Jan — to będą panu służyć, skoro się pan załatwisz z moim przyjacielem. I jeżeli pan wyjdiesz z tej rozprawy cały, to żebyś wiedział, że się nazywam Zarzycki, a nie Zarucki; masz pan tu moją kartę i na niej oznaczone moje mieszkanie, abyś mógł mnie znaleźć.

I położył mu kartkę na stole, którą pan Wiktor wziął, obejrzał, uśmiechnął się, i kładąc ją przy sobie, rzekł:

— Na ulicy Freta! no! nie jest to punkt miasta bardzo uczęszczany, nie jest to Krakowskie-Przedmieście, ani Nowy-Świat, ale to nic nie stanowi. Chociaż na tej ulicy wcale nie bywam, bo i któż tam bywa? ale jednak pana znajdę. Możesz pan być pewnym. A teraz, wracając do rzeczy, powiedz mi pan, tylko krótko, bo mam interesy z okazji tej nieocenionej śmierci mojego stryja, o jakim to starcu i o jakiej krzywdzie pan chcesz mówić? gdyż doprawdy, że sobie nie przypominam.

— Jakto? — zawołał Jan czerwieniąc się. — Pan sobie nie przypominasz, że wchodząc na bal dla ubogich i mając pod ręką dwie swoje metresy, potrafiłeś przy kolumnach starego i poważnego człowieka, powiedzieć mu grubiaństwo, i kazałeś wyjść precz z sali?

— A, a, a! prawda, prawda! teraz sobie przypominam — odpowiedział pan Wiktor, popijając herbatę — zrobiłem to, przyznaję, nie uszanowałem, jak pan poetycznie wyraziłeś się, siwych włosów; ale gdybyś pan wiedział, w jak piekielnym wówczas byłem humorze, do jakiej złości przyprowadziły mnie te siwe włosy, tobyś się nie dziwił. Co więcej panu po-

wiem, gdybyś pan miał takiego stryja, jakim był mój, a którego dziś niezmiernie szanuję, bo już milczy i nie gderze; gdybyś wracał od takiej ciotki, jak moja, która raby panu ciągle mówiła o spowiedzi, o moralności, i w oczach twoich rozdarła testament, zapewniający ci przeszło sześćkroć, tobyś może stracił cokolwiek z tej poetycznej czci dla siwych włosów, jaką masz, i pewny jestem, żebyś to sam zrobił.

— Zapewne — rzekł Jan — gdybym był pijany i chciał się popisać przed dwiema łajdaczkami, które miałbym pod ręką.

— Zanotuję ja to sobie, co pan teraz powiedziałeś, bo było dobrze powiedziane — mówił pan Wiktor, szarpnąwszy wąsy i oglądając na karte Jana: — dodaj pan tylko, że tem bardziejbyś to zrobił, gdybyś na to dał słowo znacnym koleśom, jak ja oświadczyłem to moim, na co mam świadków — dodał, ukazując na swych przyjaciół, którzy całej tej rozmowy z ciekawością i niepokojem słuchali. — A ja jestem szlachcic starej daty, i co przrzekam dotrzymuję. *Noblesse oblige*, mój panie Zarzycki, jeżeli pan umiesz po francusku.

— Po francusku umiejają dziś u nas prawie wszystkie kucharki i większa połowa façasów — rzekł Jan, którego ten ton zaczynał do najwyższego stopnia niecierpliwieć — nie macie więc państwo z czem tak bardzo się chlubić.

— Im więcej pana słucham — odpowiedział pan Wiktor — tem więcej zaczynam pana lubić, i wierzę mi pan, że z wielką radością udam się na ulicę Freta, choć tam nigdy nie bywam. Ale skończmy wprzód jedno. Któż jest ten stary, któregoś, jak pan powiadasz, skrzywdził, i ten syn, który pragnie pomścić się za krzywdę ojca, jak powinien, bo i ja bym to samo zrobił.

— Ktokolwiek jest, to do rzeczy nie należy —

odpowiedział Jan — i nie zmienia bynajmniej obowiązków syna.

— Bardzo pana przepraszam — przerwał pan Wiktor, zapalając cygaro — to do rzeczy niezmiernie należy. Bo jeżeli to jest krawiec, albo perukarz, lub co podobnego, to przyznasz pan, że mi nie wypada narażać się na śmieszność i stawać do walki z synem takiego staruszka, który może być sobie człek uczciwy i oddawać obstalunki na termin, ale nie ma prawa żądać ode mnie honorowego wynagrodzenia.

— O! panowie macie o uczciwości, prawie i honorze szczególniejsze wyobrażenia — rzekł Jan rozgniewany.

— Cóż pan chcesz? — odpowiedział pan Wiktor — ja naprzykład, oprócz tego kochanego stryja, który był szambelanem s. p. króla Jegomości i poszedł wczoraj na tamten świat, mam pomiędzy moimi przodkami, z którymi już dziś mój stryj się wita, kasztelanów, wojewodów, biskupów i wszelkiego rodzaju dygnitarzy. Jakiemże czołem stanąłbym pomiędzy nimi, gdyby mnie syn jakiego krawca lub perukarza do nich wyprawił? Czujesz pan to sam, że to rzecz niepodobna. Dlatego muszę wiedzieć, kto jest ten stary, któregoś, jak pan utrzymujesz, skrzywdził.

— Jest to zacny urzędnik — odpowiedział Jan z mocą — naczelnik w tem biurze, w którym służy krajowi lat trzydzieści kilka, człowiek szlachetny i przez wszystkich poważany.

— Ale czy szlachcic, mój panie Zarzycki? — rzekł pan Wiktor z zimną krwią i puszczając dymek z cygara.

— Jakto? — zawołał Jan, powstając — czyżby to było przeszkodą do zadośćuczynienia synowi za krzywdę ojca, gdyby nim nie był?

— Naturalnie, że byłoby przeszkodą taką, którejbym mimo najlepszej chęci przelamać nie mógł — od-

powiedział pan Wiktor. — Zapytaj pan tych panów, oni ci to samo powiedzą. I żaden z nich nie podałyby mi ręki, gdybym stanął do rozprawy z synem, chociaż urzędnika, ale nie szlachcica.

Jan osłupiał i słowa wymówić nie mógł, a pan Wiktor, patrząc na niego z uśmiechem i zimną krwią, godną lepszej sprawy, zapytał:

— A jak się nazywa ten pan urzędnik? bo widzę, żeś się pan zaciął, i nazwisko to zapewne potwierdzi moje podejrzenie, iżbym go napróżno szukał w Niesieckim.

— Nazywa się Andrzej Sulejewski — rzekł Jan, i rzucając mu na stół kartę Juljana, dodał: — i oto masz pan kartę jego syna.

Pan Wiktor wziął znowu, jak i pierwszą obejrzał, i uśmiechając się odpowiedział:

— Karta ładnie litografowana, to prawda. Ale któż dziś nie ma kart litografowanych? Julian Sulejewski! Sulejewski!... Czekaj-no pan. W dobrach mego ojca jest leśniczy Sulejewski, człek dość pilny, który obowiązek swój nieźle pełni, lasu i zwierzyny nie kradnie, przytem dobry myśliwy i strzela doskonale. Ależ ten poczciewicz do szlachectwa nie ma żadnej pretensji. Widzisz tedy pan, że to całą rzecz kapitalnie zmienia. Może ten pan urzędnik i jego syn nie są krewnemi naszego leśniczego i z innych Sulejewskich pochodzą; może mają papiery w porządku i potwierdzenie Heroldji, w takim razie z największą przyjemnością służyć będę panu Juljanowi. Ale nim się o tem przekonam, o żadnej sprawie honorowej mowy być nie może. Skończyliśmy tedy co do jednego, mój panie Zarzycki. Co się tyczy pana i ulicy Freta, jak tylko się ułatwię z interesami, któremi mnie śmierć mego stryja obarczyła i udobrucham moją ciotkę, że nowy testament napisze, dam panu wiedzieć natychmiast. Do widzenia więc — dodał, kiwnąwszy

głową Janowi, którego stan łatwo sobie wyobrazić, i obracając się do kolegów, zapytał: — Cóż tam jest w Debatach?

— Czy to pana ostatnie słowo, panie Znoński?— zawołał wówczas Jan. Pan Wiktor obrócił się, powstał, spojrzął na niego marsmem i rzekł:

— Kiedy raz co powiem, to powiedziane. *Au revoir, monsieur Zarucki.*

Jan nie zmieszany tym tonem zuchwałego młodzieńca, przystąpił do niego i rzekł mu:

— Widzę, że z tych trzech rzeczy, o których pan mówiłeś, że je namiętnie lubisz, lubisz tylko sukcesje i metresy. Do trzeciej zaś niewielką masz ochotę, i lada czem radbyś się z niej wykręcić. Wierz mi pan, nie sztuka być śmiałym pod maską i ze starymi. Do widzenia, panie Znoński.

To powiedziawszy odwrócił się i wyszedł. Gdy był w przedpokoju, słyszał dzwonek i rozkaz dany lokajowi, żeby go nie przyjmować, jeśli się jeszcze zjawi; a znalazłszy się na ulicy, stanął przy pierwszej bramie, aby odetchnąć, zebrać myśli i zastanowić się, co dalej począć i jak wybrnąć z tego nieszczęścia, w które płochość i zuchwalstwo młodego człowieka, tak pełnego siły, zimnej krwi i rozumu, chociaż na drożnej znajdującą się ścieżce, wplątały i jego i tych znacznych przyjaciół, których więcej kochał, niż siebie. Ze wszystkiego co widział i słyszał, miał najmocniejsze przekonanie, że pan Wiktor nie jest tchórz, i że ten wstręt, jaki od stawienia się na wyzwanie okazał, jest tylko skutkiem kaprysu, zarozumiałości i tego zakorzenionego w naszych panach przesądu, który im daje tę wiarę, że cokolwiek od nich pochodzi, to niższych obrażać nie powinno i do zadośćuczynienia ich nie obowiązuje. Minęły wprawdzie czasy owego: *zabiję i zapłacę*, ale nie wyrugowała się jeszcze, i może nigdy się nie wyruguje z głów ludzi urodzonych w do-

statkach i otoczonych niejako przywilejem wyższości, ta myśl, że są nie takimi ludźmi, jak inni, i że ci dopiero są prawdziwymi ludźmi, których z nimi ród i pochodzenie na równi stawia. Rozważając to zakłopotany i do gruntu serca zmartwiony Jan, przyszedł do tego wniosku, że pan Wiktor niczem zmusić się nie da, i że, czy w dobrej wierze żądał dowodu o szlacheckim pochodzeniu swojego przeciwnika, czy wszystko to co mówił, było ironją, żartem i urąganiem, niemniej jednak widział w tem upór, którego Julian powtórzonym domaganiem się przełamać nie zdoła. Chociaż więc wspomnienie tej sceny, jaką miał z zuchwałym młodzieńcem, oburzało go niesłychanie ale gdy z drugiej strony przyszła mu na myśl kłeska, jakaby gotowość jego ściągnęła na tę zacną rodzinę, którą tak kochał, niebardzo mu miał za złe, że żądał od Juliana tego, czego mu ten dać nie mógł. Przeciagnie się ta sprawa, pomyślał sobie w duchu; Julian rad nierad da sobie na niejaki czas wyperswadować, a tymczasem ja odpłacę paniczowi i za siebie i za przyjaciela, który odda mojej Cesi to, czem się mnie zadłuży. A ja mam potwierdzenie Heroldji, mój panie Znoński! i rzucę ci go w oczy razem z kulą, którą także rzucać umiem.

Pocieszony tem postanowieniem, znajdując to poświęcenie się za przyjaciół również prostem i naturalnym, jak prostą i naturalną rzeczą uważał gorącą chęć Juliana pomszczenia krzywdy ojca, odetchnął swobodniej, przeszedł jeszcze parę ulic, dla uszykowania poplątanych myśli, i potem udał się pod kolumny teatru, gdzie spodziewał się, że Julian już go oczekuje.

Jakoż obaczył przyjaciela już zdaleka, przechadzającego się pod filarami, występującego często na schodki ku placowi i wyglądającego z tej strony, z której się go spodziewał. Gdy się zbliżył, Julian przystąpił do niego z niecierpliwością, i zapytał:

— Cóż? on? przyznał się.

— Przyznał się.  
— Wyzwałeś go?  
— Nie przyjął wyzwania!  
— Jakto? — krzyknął rozgniewany młodzie-  
niec — więc stchórzył?  
— Wcale nie — odpowiedział Jan.  
— Jakżeż to? gada! — rzekł Julian, chwytając  
jego rękę.  
— Pójdźmy stąd gdzie, żeby nie być na oczach,  
a opowiem ci.

I poszli do narożnej cukierni w domu Petyskusa, tam zabrali się do osobnej salki, w której nie było nikogo, i Jan opowiedział mu całą swą rozmowę, nie tając żadnej okoliczności, ani tonu, z jakim był przyjęty.

— Julian błądy i drżący słuchał opowiadania przyjaciela, a gdy ten skończył, wziął jego rękę i rzekł z bólem:

— Biedny Janie! wplątałem cię w taką kabałę! Ale to się tak skończyć nie może. Przełamię ja te szlacheckie skrupuły, pod którymi chowa się miłość życia i chęć przestawienia stryjowskiego miljona.

— Cóż zrobisz? wygrzmocisz go na ulicy? — zawołał Jan — to najprzód powiem ci, że się skrzywdzić nie da, bo od ciebie silniejszy i zuchwalszy; a potem narobisz w mieście hałasu, że to wszystko dojdzie do twych rodziców i zatrujesz ich życie i na śmiertelne wystawisz trwogi.

— Czyż ich to nieszczęście minąć może? — mówił Julian z utajoną rozpaczą.

— Ale pocóż mają na nie czekać tydzień, miesiąc, może dwa, i co godzina, co minuta umierać? — rzekł Jan — a jeżeli twój ojciec dowiedziawszy się o wszystkim, kochając cię więcej niż siebie i życie, wiedząc, żeś ty matce twej droższy niż on, uprzedzi

cię, skrycie przed tobą stanie sam i zginie? co wtedy poczniesz?

— Ha! to okropne! to mi nie przyszło do głowy — zawołał młody człowiek, zakrył twarz obiema rękami i tak siedział przez niejaki czas, przerażony tym obrazem, który mu Jan przedstawił, a który był bardzo do prawdy podobny, bo obaj znali charakter pana Sulejewskiego, i tę miłość, któraby mu poświęcenie się za syna uczyniła łatwym i koniecznym. Po chwili powstał Julian, wziął rękę przyjaciela i rzekł:

— Janie! daj mi słowo, że bez mojej wiedzy nie zrobisz żadnego kroku, aby przyspieszyć spotkanie się z nim twoje, jeżeli z jego strony nie była to fanfaronada, o której prędko zapomni.

— Dlaczego żądasz ode mnie takiego słowa? — zapytał Jan.

— Dlatego, że mi perswadujesz, a nie powinie-  
neś — mówił Julian. — Sądzę więc, że masz takie zamiary, któremi chciałyś może rozciąć ten węzeł. Nie czyni tego, Janie! — dodał, cisnąc mocno jego rękę — mnieby to nic nie pomogło, a Cesia zostałaby podwójną sierotą.

Jan zadrżał i odwrócił się, a Julian mówił dalej:

— Widzisz, że mam rację. Trzeba więc pomyśleć o innym środku. — Potem, zamysliwszy się i pocierając ręką szerokie swe czoło, dodał: — I ten środek znajdziesz się. Nie moja to wina, że go będę musiał użyć.

— Jakiż to? — zapytał Jan strwożony.

— Powiem ci potem. Potrzebuję wprzód namyśleć się i dobrze rzecz obrachować, aby mnie i ten nie omylił. Pójdźmy!

I poszli obaj, Julian spokojniejszy i bardziej zrezygnowany, Jan zamysłony i dochodzący skrycie, jakiego miał zamiary.

Nazajutrz Julian, bez wiedzy Jana, napisał do pana Wiktora list następujący: „Życie, zasady i postępkę pana są podle i haniebane. Jak łajdak, który z za płotu rzuca kamieniami na przechodzących, tak schowałeś się pod maską, aby zelżyć szanownego starca, który nie mógł cię na miejscu zawstydzić i ukarać. Teraz, gdy się dowiedział o krzywdzie mojego ojca, tak publicznie mu wyrządzonej, i żądał od pana zadośćuczynienia, jakiego żądać mam prawo, choć nie mam pergaminów, zbyłeś przyjaciela mego drwinami, i pod zwietrzałe skrupuły schowałeś swoje tchórzostwo, jak dawniej pod maskę schowałeś twarz, którą byłbym pewnie rozbił, gdybym był zuchwalstwa twego świadkiem. Jakkolwiek poniżyłeś się pan życiem i obyczajami, sądzę jednak, iż czuć to musisz, że ja na tem przestać nie mogę. Wzywam więc jeszcze raz pana, abys dziś jeszcze do przyjaciela mego, którego masz adres, przysłał swego świadka, dla umówienia się o czas i miejsce. Przytem, ostrzegam pana, że jeżeli tego nie uczynisz, postawisz mnie w konieczności do użycia środka, przeciwnego wprowadzić moim zasadom i wychowaniu, ale który zmusi pana, że zapomnisz o naszej mniemanej nierówności, a nawet o tym miljonie, którego ci widać żal, i o karesach tych kochanek, z których objęcia wyrwać ci się nie chce”.

Na ten list, umyślnie tak ułożony, aby pana Wiktora z zimnej jego krwi wyprowadził, odebrał Julian w pół godziny taką odpowiedź: „Ja chłopów i żydów biję, ale nie pojedynkuję się z nimi. Przekonał mnie pan, że nie jesteś ani jednym ani drugim, a stanę nie raz, nie dwa, ale póty stawać będę, póki jeden z nas nie legnie na placu. Do tego zaś czasu, nim się w oczach moich wylegitymujesz, ostrzegam pana, abys mnie uniikał, bo ci za słowa twego listu zapłacę tak, jak zwy-

kłem płacić każde grubiaństwo podobnego rodzaju indywiduum”.

List ten pokazał Julianowi dostatecznie, z kim ma do czynienia i przekonał go, że wszelki środek zwyczajny nieskutecznym będzie do wywołania w pole przeciwnika, który do wyrządzonej krzywdy ojcu, łączył jeszcze taką pogardę dla syna, że się nawet obelżywemi słowy jego, którychby pewnie od rodzinnego brata nie zniósł, do gniewu i pomśzczenia ich nie zapalał. Postanowił więc użyć ostatniego, który mu pozostał, i do którego już od wczoraj potrzebne robił przygotowania. To dziwne i bolesne położenie zacnego młodzieńca rozwinęło w nim taką siłę woli, taką przytomność umysłu i takie panowanie nad każdym słowem i poruszeniem, że nikt w domu ani wczoraj wieczorem, ani dziś przy śniadaniu nie zmiarkował i nie przeczuł, co zamierza. Julian oszukał serce matki! Do obiadu przyszedł w zwyczajnej porze, droczył się z Antosią, że jej dzisiejsza dyspozycja nie udała się wcale, jak i zawsze się jej nie udaje, ile razy matka pozwoli jej, tak jak dziś zastąpić siebie w tej ważnej sprawie. Antosia gniewała się, świadczyła ojcem, który owszem kontent był z obiadu; ale Julian utrzymywał, że siostra jego ma daleko więcej usposobienia do rysunków, niż do gospodarstwa. Wtedy dziewczyna czerwieniła się, on ją przeproszał, całował jej rękę, a po obiedzie, korzystając z tego pretekstu, że się jeszcze gniewa, ścisnął ją serdecznie, niby znowu przepraszając, i z niewysłowionem pieścił ją przywiązaniem. Tym sposobem szukał powodów zbliżenia się do ojca i do matki, aby jeszcze utulić się na ich łonie, położyć głowę na ich piersiach, i posłyszeć jeszcze bicie tych serc, gdzie wiedział, że tyle dla niego jest miłości, a wkrótce może miał być ból nieskończony. Po piątej poszedł do Jana, przyniósł Cesi ładną książeczkę do nabożeństwa, poprawił jej cwi-



ezenie francuskie, a że było bardzo dobrze zrobione, pochwalił ją, skaczącą z radości dziewczynę przycisnął do piersi i pierwszy raz ustami czoła jej dotknął. Gdy Jan nadszedł, rozmawiał z nim jeszcze spokojnie, bo dziewczynka ich nie odstępowała, chwalać się przed bratem i podarunkiem, i pokazując mu sekstern, w którym tak mało było omyłek. Gdy się odwinęła, szepnął Janowi, że jeszcze nic nie postanowił i dał znak, że przy niej o tem mówić nie należy. Zapalił więc cygaro, popatrzył na swywołę uradowanej dzisiejszem powodzeniem Cesi i unikając wzroku Jana, który milcząc, śledził każde jego poruszenie i zdawał się każde słowo jego ważyć i rozbierać, zaczął mu opowiadać dzisiejszą swoją kłótnię z Antosia, a postrzegłszy, że się i Jan zaczerwienił, dodał, że podobno za ten mój wyskok nietylko ją, ale i ciebie, mój Jasiu, powinienem przeprosić. Wtedy znowu korzystając z pozorów, wziął go w objęcia i z całego serca uściskał. Czując jednak, że dalsza ta komedja byłaby nad jego siły, zaproponował przyjacielowi, czy nie pójdzie z nim do teatru, i dodał ciszej: — Wszak wiesz, że potrzebuję rozrywki i że miejsca sobie dobrać nie mogę. — Gdy Jan z ochotą przystał, Julian położył rękę na głowie Cesi, zsunął ją nieznacznie do jej bródki, podniósł to rumiane i puszyste lice tak, że ku niemu z uśmiechem patrzyła, a spojrzawszy w te czarne i już po swojemu kochające oczy, tem wejrzaniem, którem zdawał się cały raj swój na ziemi żegnać, powiedział dobranoc i poszedł. Gdy powrócił z teatru, ojciec jeszcze pisał, matka była już w łóżku, a Antosia już spała. Że to był jego zwyczaj, ile razy skąd niezbyt późno wracał, że wchodził do rodziców, jeszcze więc raz ucałował ręce ojca, ode drzwi obejrzał się jeszcze na siedzącego przy biurku i przeżegnał go; gdy przyszedł do matki, nastawił jej czoło, potem uściskał jej ręce i nogi, zajrzał do pokoiku siostry, i gdy wszystko

to łamało hart jego duszy i wydobywało z piersi szlochanie, którem byłby zamiar swój zdradził, poszedł prędko do swojej stancyjki i na klucz się zamknął.

O godzinie szóstej rano już Juljan okutany w płaszcz, z małym zawiniątkiem pod pachą, był za rogatkami Jerozolimskimi. Tam o pół wiorsty od rogatki stała już bryczka parokonna; młody człowiek pośpieszył ku niej, wsiadł, i pojechał oglądając się jeszcze na Warszawę, starając się przebić mgłę marmocową, w której tonęły jak widziadła, kopuły, wieże, drzewa i domy. Gdy koło dziesiątej przybył do Tarczyna, zapłacił furmanowi, podziękował mu, że mu dotrzymał słowa, i posiliwszy się śniadaniem, wziął pocztę i pojechał dalej. W Szydłowcu odpoczął po takich wysileniach, po takim bólu, który ukrywać musiał, po nocy zupełnie bezsennej i na śmiertelnej walce, czy cofnąć się, czy iść dalej, spędzonej. Sen pokrzepił jego siły, orzeźwił umysł i umocnił go w jego postanowieniu. Po ósmej już ruszywszy dalej w drogę minął Kielce, a od Chęcina udawszy się na prawo, za Małogoszczą zwrócił się ku Nidzie, i po godzinie trzeciej z południa stanął w Oleszczynie, przed okazałym dworem, który był rezydencją ojca pana Wiktorą.

Gdy spostrzegł stojącego na ganku wygalowanego lokaja, zapytał go z bijącym sercem, czy jest w domu pan kasztelan Znoński.

— Jest — odpowiedział sługa, mierząc arystokratycznie okiem nowoprzybyłego — ale jasnie wielmożny pan siada zaraz do stołu.

— Nic nie szkodzi; nie zabawię długo — rzekł Juljan, wyskoczył z bryczki, rzucił na nią płaszcz, i poleciwszy pocztyljonowi, żeby był gotów, nigdzie się nie oddalał, że za kwadrans lub najpóźniej za pół godziny pojedą dalej, wszedł do przedpokoju i kazał się zaanonsować. Lokaj spojrział na jego postać imponu-

jąca, twarz bladą i oczy błyszczące, jakby w gorączce; wniósł, że coś bardzo pilnego i prędko poszedł. W parę minut wrócił, otworzył przed nim drzwi i rzekł:

— Jaśnie wielmożny pan prosi.

Wtedy Juljan drgnął w całym ciele, jakby się własnej myśli swej przeraził; ale czując, że już nie pora cofnąć się, potarł ręką szerokie swe czoło; wstchnął głęboko i wszedł do pokoju.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki niepokój ogarnął dom państwa Sulejewskich, gdy się spostrzegli, że Juljana nie ma. Chociaż służący nie uważał, kiedy panicz wyszedł, sądzili rodzice, nie widząc go przy śniadaniu, że korzystał z przymrozku, który ścisnął ziemię, i ze słońca, które przebiwszy mgłę spojrzęło na świat wiośnianem obliczem: że zatem syn ich poszedł przejść się, jak to nieraz czynił, że wstąpi gdzie na kawę do cukierni, uda się do swego biura i nie przyjdzie aż na obiad. Czekająca więc matka tej chwili dość spokojnie, przypomniawszy sobie zwłaszcza, że wczoraj był weselszym, niż poprzednio, że Jan, który o dziesiątej przyszedł na lekcję rysunków, upewniał ją, iż wieczór spędzili w teatrze, a nadewszystko, że nic nie wiedziała, co taił przed nią mąż, co syn i jego przyjaciel ukrywali w swem sercu.

Ale gdy przyszła pora obiadu, a Juljana nie było, ciężka jakaś ogarnęła ją trwoga. Nadszedł mąż, już widocznie nieswój; pierwsze słowo, które wymówił, było: — czy jest Juljan? — Na odpowiedź żony: — nie ma go — wymówioną takim głosem, jakim tylko matka odezwać się może, kiedy serce jej lęka się, a dusza klęskę jakąś przeczuwa, stary zbladł, zadrżał, ale pokonawszy się jak mógł, rzekł:

— Gdzieżby on mógł być? zaczekać trochę z obiadem, zapewne nadejdzie. I tak mam do przejrzenia pilną ekspedycję, którą muszę zaraz odesłać.

Tak wywinawszy się od wzroku żony, którego wy-

trzymać nie mógł, poszedł do swojego pokoju i zamknął się. Następująca okoliczność powiększyła jeszcze stan jego okropny. Dziś właśnie, gdy się udawał do biura, szedł za dwoma nieznanymi sobie mężczyznami, którzy o przygodzie jego głośno rozmawiali. Dosłuchał się wprawdzie, że nie wiedzieli, co to za staruszek i przez kogo tak zelżonym został, ale zawsze rozmowa ta przekonała go, że wypadek tak publiczny nie może pójść w niepamięć, że niepodobna, aby w liczbie kilkudziesięciu osób, które były świadkami, nie znajdował się nikt, coby go znał, że zatem nie dziś to jutro rzecz cała dojdzie do uszu syna, i to nieszczęście, z którego myślą codzień zasypia i codzień się budzi, kiedykolwiek spadnie jak piorun na jego głowę. Postanowił zatem uwolnić się ze służby, a tymczasem wynajmując urlop, wyjechać natychmiast z synem dla wynalezienia ustronia, któreby nabył, i gdzieby się na dalsze lata z rodziną swą schronił. Nie dziw więc, że gdy z takimi myślami do domu wrócił, i powiedziano mu, że Juljana nie ma, przeraził się i trwogi swej dobrze ukryć nie umiał.

Po obiedzie, od którego wszyscy wstali prawie nie jadłszy, pani Sulejewska powiedziała tylko:

— Coś taicie przede mną, widzę to oddawna. Tak się nie godzi, mężu! nie zasłużyłam nato! — i zalana łzami poszła do siebie, a stary, który nie śmiał perswadować, a objawivszy żonie całą prawdę, dzielić się z nią tą śmiertelną trwogą co go opanowała, nie chciał, zniósł wymówkę jej w milczeniu i pomyślawszy chwilę, wziął kapelusze i udał się na ulicę Freta.

— Panie Janie! — rzekł do zadziwionego obecnością jego malarza — Juljana nie ma. Bardzo rano gdzieś wyszedł i dotąd nie wraca. Czy nie wiesz, gdzie się znajduje?

Jan zadrżał, ale mocując się z sobą, odpowiedział:

— Nie wiem, panie radco! daję panu na to słowo.

— I pan się niczego nie domyślasz? — zapytał stary, patrząc na młodego człowieka przenikliwym wzrokiem.

— Gdzieby mógł być, domyśleć się nie mogę — odpowiedział Jan, spuszcżając oczy. — Wiem, że był smutny, że go jakieś dziwne dręczyły przeczucia; mówił mi nieraz o tem, że się czegoś lęka, że humor panu radcy zmienił się zupełnie, że mu się zdaje, że pan radca jakąś ciężką tajemnicę ukrywasz przed żoną i dziećmi, ale czy te jego przeczucia są powodem tej nieobecności, która mnie do najwyższego stopnia zadziwia i trwoży, tego powiedzieć panu radcy nie mogę.

Rzeczywiście nie mógł mu tego powiedzieć Jan, i nie skłamał, takiego używszy wyrażenia. Stary schylił czoło, westchnął głęboko i rzekł:

— Może Bóg da, że nadejdzie i że mu się nic złego nie stanie. Do widzenia, panie Janie. Przejdź się po waszych wspólnych znajomych, może gdzie zaślabił i nie kazał nam dać znać, żeby nie przestraszyć matki.

W tej chwili, z przyległego pokoiku dał się słyszeć głośny płacz Cesi.

— Któż to tak płacze? — zapytał stary z tajemnem drżeniem.

— To Cesia, panie radco, musiała rozmowę naszą usłyszeć.

— Poczciwe dziecko! — rzekł stary. — Jak bo też my go wszyscy kochamy! — dodał rozrzewniony, odwrócił się i prędko wyszedł.

W parę minut potem Jan wyszedł także, pobiegł prosto do mieszkania pana Wiktora i dowiedział się, że tylko co wrócił z pogrzebu stryja i ubiera się na wielki obiad, który dla przyjaciół swych daje u Marego. Zaspokoiwszy się w tej głównej trwodze, pobiegł do kilku znajomych, u których czasem bywali,

zapytywał nawiasowo, czy nie był dziś u nich Juljan, i dowiedziawszy się naturalnie, że żaden go nie widział, poszedł jeszcze do Marego, przekonał się, że obiad rzeczywiście jest i że pan Wiktor na nim przeżyje w najlepszym humorze, udał się do państwa Sulejewskich i przebył z niemi wieczór, perswadowując jak mógł i starając się ile możności unniejszać ich trwogi i nieszczęśliwe przeczucia odwracać.

Trudno jest wyrazić, w jakim stanie wszyscy przebyli tę pierwszą noc, w ciągu której sen ani na chwilę nie zamknął ich oczu i nie ukołysał śmiertelnej trwogi. Następane dni i noce nie były lepsze. Żaden posiłek nie szedł im do ust, żadna robota nie brała się rąk, drżących i osłabionych. Pan Sulejewski tyle tylko znalazł uspokojenia, że wypadek ten zdecydował go do podania próby o uwolnienie ze służby i o emeryturę, że się wystarał i otrzymał tymczasowo trziesięciennego urlopu; tyle tylko miał zajęcia, że objechał wszystkie rogatki dla dowiedzenia się, czy na której z nich Juljan nie zapisany, że był w biurze policji, czy nie brał pasportu, i dowiadywał się, czy się nie zdarzył jakiś wypadek w mieście, w którym syn jego mógłby być przypadkowym uczestnikiem lub nieszczęśliwą ofiarą; a Jan nie odchodził prawie ode drzwi pana Wiktora, śledził go nieustannie i starał się dowiedzieć, to u niego w domu, to w mieszkaniu panny Flory, czy jest, czy nie wyjechał z miasta. Obecność i dobry humor młodego człowieka, którego nieraz spotykał z cygarem w ustach, śmiejącego się i drwiącego zapewne z przyjaciela, którego wioził w swoim koczku, uspakajały niejako zacnego malarza; ale tembardziej zachodził w głowę przez te kilka dni śmiertelnych i nieskończonych, chcąc dojść, gdzie się Juljan mógł podziać i co się z nim zrobiło.

Nareszcie, piątego dnia rano, gdy już miał wyjść

i posadził przy lekcji Cesię, zmizerowaną bezsennością i ciągłym płaczem, otrzymał od Juliana list następujący:

„Stało się więc, kochany Janie, czegom pragnął, czegom się lękał. Popeliłem ten sam występek, za który zuchwałego przeciwnika mego ukarać muszę. Bóg widzi, że chciałem uniknąć tej ostateczności, na którą się serce moje oburza. Pisałem do niego, wyzywając go raz drugi i przyłączam ci tu jego odpowiedź; przeczytaj i osądź, czy mi zostawało co innego, jak straszliwym odwetem wywołać go na plac, na którym go czekam, jako mściciel krzywdy mego ojca, aby przybiegł, jeżeli mu rozpusta została cokolwiek uczucia i pomścił się na mnie za zhańbienie swojego. Kiedym stanął przed tym starym człowiekiem, przygarbionym i wyniszczonym, może także przez złe życie, ale w którego twarzy była powaga, a na głowie siwe zupełnie włosy, wzdrygnąłem się sam na tę myśl, która mnie do niego zaprowadziła. Zamknąłem więc boleść swoją w sercu, utuliłem rozpacz, która mnie nie opuszcza, wyłożyłem mu całą sprawę, dałem mu poznać mego ojca, domagałem się, co mówię, błagałem go prawie, aby, nie nauczywszy syna swego, co się należy wiekowi, cnocie i zasłudze, bez względu na pochodzenie, nauczył go przynajmniej tej prostej reguły honoru, że gdy się komu robi krzywdę, należy ją wynagrodzić. O, Janie! czy wiesz, co mi odpowiedział? Oto: że choć syn jego jest jedynakiem, choć go kocha nad życie, nietylko nie broniłby mu, aleby mu nakazał stanąć, tak potępia jego postępek, gdybym miał prawo żądać od niego honorowego zadośćuczynienia. Ale w obecnym razie ubolewał tylko nad tem, co się stało, przyrzekł surowo zganić synowi, że się tak dalece zapomniał i ofiarował mi wynagrodzenie, na którego wzmiankę krew zalała moje serce, pod-

niosła się ręka i dotknęła twarzy jego przy świadkach, którzy osłupieli. Tak zrównałem go z moim ojcem i przeznaczenie moje spełniło się. Przyjeżdżaj, Janie, do Stasia Skrodzkiego, naszego dobrego kolegi, który będzie moim świadkiem i u którego na przeciwnika mego oczekuję. Do pana Wiktora napisałem już także i przyłączam ci tu kopję biletu, który musiał już odebrać. Teraz zapewne zapomni o swoich skrupułach i nie da się zatrzymać tym heroinom, które mu na ów nieszczęsny bal towarzyszyły. Czujesz to, mój biedny Janie, że to będzie walka śmiertelna; przyjeżdżaj więc. Jakkolwiek z niej wyjdę, zawsze potrzebować cię będę. Chciałbym, abyś chwilę naszego spotkania uprzędził, chciałbym ci oddać listy do moich rodziców, do Antosi i do mojej drogiej Cesi, którą nazywam już swoją, bo taką jest w mojej myśli i w tem świętem postanowieniu, któreś już pewnie dawno odgadł, którego ona nie domyśla się, a które Bóg, który zna czystość mego serca i chęci, pewnie pobłogosławił. Niestety! spełni się ono nie tu, to tam, gdzie się znajdziemy wszyscy. Kończę, bo mi serce mięknie i dusza omdlewa na samą myśl tej boleści, jaką po sobie zostawię. Janie! Janie! co się tam dzieje? jak przebyliście te dni, nie wiedząc, gdzie się podział i co się ze mną stało? A matka moja!... O! dla czegoż urodziłem się!”

Bilet do pana Wiktora był następujący:

„Popeliłeś pan podwójny występek, zmusiwszy mnie do haniebnej czynności, którą chcę w panu ukarać. Skrzywdziłeś pan mego ojca obelżywemi słowami i rozkazem wyjścia, takim, jakim się z uczciwej kompanji wypędza ostatniego łajdaka. Sądzę, że policzek, który dałem ojcu pana, jest dostatecznym odwetem i szlachecki skrupuł pański przełamie. Jesteśmy sobie

teraz równi. Czekam więc pana u Stanisława Skrodzkiego w Suchej Woli, gdzie plac i broń są gotowe”.

Jan załamał ręce, przeczytawszy wszystko. Na chwilę stracił prawie przytomność umysłu, że nie wiedział, co robić, jak sobie począc, czy dać znać ojcu, czy utaić to nieszczęście do ostatecznego wypadku i co prędzej jechać. Ale rzuciwszy jeszcze raz okiem na bilet do pana Wiktora, zasunął drżącą ręką list Juliana pod papiery, chwycił za kapelusza i pobiegł. Gdy przyszedł zadyszany do mieszkania młodego człowieka, dowiedział się, że pan Wiktor odebrał najprzód sztafetę z domu, potem jakiś list, że ryczał z płaczu i rzucał się z gniewu jak wściekły i że po odebraniu tych listów, doczekawszy się tylko koni z poczty, z jednym ze swych przyjaciół przed godziną może pojechał.

Nie miał więc i Jan co się namyślać. U pierwszego zegarmistrza zastawił złoty i kosztowny zegarek, jedyną puściznę, która mu została po rodzicach, a dostawszy pieniędzy i na drogę i dla zastawienia w domu, pobiegł do ratusza i bez długich ceremonji dostawszy bilet na wyjazd, jako znany osobiście naczelnikowi sekcji, i zamówiwszy konie pocztowe za godzinę, pojechał do szpitala Św. Rocha, gdzie operatorem był wspólny ich kolega z gimnazjum, który przed rokiem dopiero wrócił z akademji i z powodzeniem zaczynał się oddawać chirurgji. Opowiedział mu stan rzeczy i otrzymał od chętnego i przerażonego takim zbiegiem okoliczności lekarza najuroczystsze słowo, że za pół godziny przybędzie do niego z instrumentami i zupełnie gotów do drogi. Wtedy Jan pojechał do domu, chcąc tam na czas nieobecności swojej ulokować pannę Honoratę i przemyśliwując nad tem, jak zdurzyć i uspokoić Cesię. A gdy wszedł do mieszkania, Cesi nie było. Służąca powiedziała mu, że wkrót-

ce po jego wyjściu panienka głośno zapłakała, potem tak jak była ubrana, nie wzięwszy ani salopki, ani kapelusika, wybiegła na ulicę; że ona wyskoczyła za nią także i widziała, jak poleciała pędem Długą ulicą, ale gonić jej nie mogła, bo zostawiła kuchnię otwartą i bała się, żeby kto czego nie ukradł.

Nowy ten kłopot miał następującą przyczynę. Gdy bryftregier wszedł i oddał list, Cesi postrzegła go. Serce jej widać przeczuło, że to musi być list od Juliana. Stała więc cicho we drzwiach i patrzyła na brata, który odwrócony od niej czytał. Gdy Jan skończył i załamał ręce, domyślała się, że to cios jakiś wielki, równie dla niej, jak i dla tych wszystkich, którzy go tak kochali. Myśl ta ją tak odurzyła, że stanęła w osłupieniu i głosu znaleźć nie mogła. Ale skoro brat wybiegł, poskoczyła do jego stołu, drżącą ręką zaczęła przerzucać papiery i znalazła wreszcie ten list, z którego tyle tylko zrozumiała, że Julian jest w niebezpieczeństwie, że się coś okropnego stało, i występuje do walki śmiertelnej. Wtedy to płacz głośny wydobył się z jej piersi, nagle domyśliła się ona wszystkiego; potrzeba ratowania go natchnęła ją tem przekonaniem, że nikt go nie wyratuje, tylko matka; jak więc stała, tak porwawszy ten list, pobiegła prosto do pani Sulejewskiej, a stanąwszy przed nią zadyszana, jak trup blada i wyciągając ku przełkniętej fatalne pismo, z tym jękiem: — Pani! Julian żyje jeszcze, ale ratujcie go! — upadła, szlochając przy jej nogach.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie tej znękaney już i tak kobiety na widok pięknego dziecka, które przestrasz i widoczna rozpacz zupełnie zmieniły. Podniosła ją, posadziła, krzyknęła na Antosię, ukazując jej płaczącą dziewczynkę i dodawszy, aby poszła poprosić ojca, sama list Juliana czytać zaczęła.

Każde słowo przeszywało jej macierzyńską pierś siedmiu mieczami, a gdy mąż wszedł, rzuciła się w jego objęcia i, tuląc głowę na jego piersiach, wołała: — O biedny ojczel! czemuś ty to wszystko przede mną ukrywał?

Gdy Jan, zmartwiony nieobecnością Cesi, posłał sługę po pannę Honoratę i tylko jej powrotu oczekiwał, aby pobiec szukać siostry; gdy, nie znalazwszy listu Juljana, wpadł na myśl, że musiała go przeczytać, że to był powód jej płaczu i że pewnie pobiegła do ojca i do matki i całą tajemnicę przed nimi zdradziła, otworzy się drzwi i wszedł pan Sulejewski z listem Juljana w rękę, a w kilka minut po nim weszły jego żona, Antosia i Cesia. Jan spostrzegł wtedy, że jego domysł był prawdziwy i nie miał za złe siostrze, że tym krokiem nieobmyślanym, ale stanowczym, wydobyla go z dręczącej wątpliwości, jak miał sobie postąpić. Teraz wiedzą już, pomyślał, niech ich Bóg pociesza. Niepewność gorsza.

— Panie Janie! — rzekł stary — jedziesz?

— Za pół godziny, panie radco! — odpowiedział młody człowiek, patrząc z bólem na tę matkę, z której postawy i twarzy mógłby był genialny snycerz drugą Niobe wyrobić. — Czekam tylko na konie pocztowe i na lekarza, naszego wspólnego kolegę, którego zabieram z sobą.

— Dziękuję ci, żeś o tem pamiętał — mówił pan Sulejewski, ściskając rękę Jana. — Ale nie pojedziesz sam. Ja jadę z tobą.

— A ja! a ja! — krzyknęła matka takim głosem, że krew zastygła w żyłach młodego człowieka. — Czy o mnie zapominacie?

— Kobieto! — rzekł wtedy starzec z przenikającą powagą i mocą, które w tej stanowczej chwili jakby aureolą męczeństwa okrzyły jego głowę. —

Ty idź do kościoła, tam padnij na twarz i módl się, aby się Bóg nad nami zlitował. Ta walka odbyć się musi. Wstrzymać jej nie zdołasz; a widok taki nie dla ciebie.

To postanowienie ojca Juljana, potrzeba udania się jeszcze na pocztę, dla zmiany, jaka zaszła i obstalowania zamiast bryczki z dwoma końmi, trzech koni do powozu, cokolwiek spóźnione przybycie lekarza, wybranie się jakie takie starego, przeniesienie Cesi do domu państwa Sulejewskich, oddanie mieszkania Jana pod opiekę panny Honoraty, przeciągnięły cokolwiek wyjazd. Wszakże w półtorej godziny od tego momentu, gdy nieszczęśliwi ci rodzice dowiedzieli się o całym ogromie swojej niedoli, już podróżni nasi byli za rogatkami Warszawy.

Jeżeli którego z czytelników naszych ręka Boża dotknęła, jeśli z nieskończonym bólem patrzył na twarz błądą i milczącą dorosłego syna, w którym dochował się podpory i przyjaciela, jeżeli tulił do piersi swych tę głowę zimną i bez myśli, która niedawno schylała się przed nim z pokorą, i trzymał rękę na tem sercu, w którym przed kilkoma dniami wrzało życie, w którym było dla niego tyle czci i miłości, a które teraz raptem stanęło; o! ten wie dobrze, z jakimi myślami biedny ten ojciec okropną tę drogę przebywał.

Nazajutrz, o godzinie ósmej rano, grała zawzięcie trąbka pocztowa i huczał po zmrożonej ziemi powóz czterokonny, dojeżdżający szybko do Suchej Woli. Wkrótce wjechał on w bramę dziedzińca i dążył ku gankowi dworu, na którym stało dwóch młodych mężczyzn. Gdy spostrzegli zbliżających się, jeden z nich wszedł do pokoju, a drugi kazał słudze swemu, aby jak najprędzej zaprzęgano. W powozie było trzech młodych ludzi. Jeden zaledwie spojrział

na gospodarza domu, stojącego na ganku, i został w koczku, a ten, co siedział z przodu, wyskoczył, lekko się skłonił i zapytał:

— Czy pan jesteś pan Skrodzki?

— Tak się nazywam i jestem gospodarzem tego domu — odpowiedział młody obywatel, oddawszy ukłon za ukłon.

— Zapewne pan wiesz, kto jesteśmy i poco przybywamy. To pan Wiktor Znoiński — dodał, ukazując na siedzącego w koczku — ja jego przyjaciel i świadek, a to pan B\*\*, lekarz z Kielec.

— Pana Wiktora Znoińskiego i pana B\*\* mam honor znać — odpowiedział Skrodzki — a pana uwiadomiam, że jestem przyjacielem i świadkiem pana Sulejewskiego, który jest gotów.

— Pistolety, i strzał wolny od pierwszej mety do drugiej, w dystancji dziesięciu kroków.

— Zgoda — odpowiedział Skrodzki.

— Ostateczny przedział między walczącymi, do którego iść mogą, kroków ośm — rzekł przyjezdny.

— I na to zgoda — mówił Skrodzki.

— Gdyby oba strzały były mylne i potykający się zostali nietkniętymi, powrócą do pierwszej mety i powtórzą to samo — mówił gorliwy sekundant pana Wiktora.

— Na to się nie zgadzam — odpowiedział Skrodzki — kiedy przeciwnicy tak strzelają, jak ci panowie, i kiedy mają tak ważne powody do trafienia się wzajemnie, a chybią, to będzie widoczne zrządzenie Boże, przeciwko któremu przyjacielowi memu iść nie pozwolę.

— Nie nastawaj, Kaziu — odezwał się pan Wiktor — do tego nie przyjdzie.

— Czy plac obrany? — zapytał młody człowiek.

— Jest gotów; w miejscu dobrem, gdzie nam

r  
t  
n  
sła  
mi,  
razii

dział Skrodzki

Juljan uśmiechnął się do  
listów, które trzymał w ręku.  
gospodarzowi swemu, odział się w  
pachę szkatułkę z pistoletami i czekał.

Zaszły konie, wsiedli i pojechali. Za wsią w  
nęli kocz pana Wiktora, zwrócili się na lewo nie-  
wielką drożyną i udali się ku lasowi, który może  
o dobre ćwierć mili od tego miejsca rozciągał się na  
wzgórzach. Kocz pana Wiktora szedł za nimi. Pod  
lasem powozy zatrzymały się; młodzi ludzie wysiedli  
i szli pod górę drożyną w największym milczeniu.  
Uszedłszy tak z kilkaset kroków, przyszli do miej-

...li  
...pi-  
Ka-  
...ki Ju-  
...w, stanęli  
... bliżej sroaka  
... na odzieniu jego  
... w którym widać było  
...  
...nowiel — zanadto ciężką jest krzywda  
...tego z was, abym wam perswadował. Oświad-  
czam wam tylko, że z jednaką usilnością obu was  
ratować będę, i w duchu proszę Boga, abym mógł  
wam być niepotrzebnym. Idźcie!

Na to hasło ruszyli z miejsca obaj młodzi ludzie,  
obaj dorodni i śmieli, obaj mający przed sobą tylko  
kilka kroków z tej drogi życia długiej i pięknej, którą

chwila płochości i zły kierunek, dany młodym siłom,  
rozumowi i dostatkom, tak nagle przeciąć miały. Już  
obaj byli na połowie pierwszej mety, a jeszcze żaden  
nie odjął pistoletu od twarzy, którą zasłaniał. Wtedy  
obaj obrócili się więcej bokiem do siebie, każdy po-  
stąpił jeszcze jeden krok, wyciągnęły się ich ręce,  
lufa spojrziała ku lufie, i Julian strzelił pierwszy. Pan  
Wiktor pochwał się, chciał postąpić jeszcze, ale  
w tejże chwili przypadł na kolana, oparł się lewą  
ręką o ziemię i, mierzając do przeciwnika, który szedł  
dalej, pociągnął za cyngiel, wypalił i upadł twarzą  
do ziemi. Julian jęknął głucho, chwycił się ręką za  
piersi, ale stał jeszcze. W tejże chwili posłyszał za  
sobą krzyk przeraźliwy, poznał ten głos, który odbił  
się w jego słabnącem sercu. — Ojcze! — zawołał,  
chciał się obrócić, aby go jeszcze obaczyć, ale  
w oczach mu się zaćmiło, ból gwałtowny pokonał  
silną naturę i biedny Julian upadł bez zmysłów na  
ręce Skrodzkiego, który już był przy nim.

Nieszczęśliwy starzec przybył za późno. Ale gdy-  
by nawet był ten strzał uprzedził, mógł-że go odwró-  
cić? Czuł on tę konieczność żelazną, która od pew-  
nego punktu, do którego człowiek dobrowolnie przy-  
chodzi, porywa go już w swe obręcze i druzgocze bez  
miłosierdzia. Patrzył więc tylko na syna, którego  
przyjaciele ułożyli na płaszczach, ale nie uronił żad-  
nej łzy, nie wymówił żadnego słowa.

Obaj lekarze porozumieli się prędko i zajęli się  
ratunkiem młodych ludzi, w których jeszcze było ży-  
cie, chociaż rany obu ciężkie i niebezpieczne. Kula  
Juljana uderzyła pana Wiktora w bok, poniżej żeber,  
przeszła widać pomiędzy wnętrzością i tkwiła pod  
skórą z przeciwnej strony. Julian raniony był w pier-  
si, bliżej pachy, ale, że kula szła ukośnie, ośliznęła  
się widać na żebrach i zatrzymała się pod obojczy-



kiem. Opatrywanie tych ran, wydobyć obu kul, trzeźwienie co chwila mdlejących młodzieńców, przyrządzenie nosideł dla przeniesienia ich na wzgórze, dokąd sprowadzono powozy, trwało dosyć długo. We trzy godziny dopiero, ranieni, ale żyjący jeszcze, młodzi ludzie, ze wszystkimi, co ich otaczali i wisieli między nadzieją i rozpaczą, przybyli noga za nogą do dworu w Suchej Woli, gdzie ich w osobnych pokojach ulokowano.

Nie będziemy utrudzać czytelników szczegółami, które każdy dopełnić może w myśli. Dodamy tylko, że tego samego dnia przybył kasztelan, któremu o całym wypadku zaraz doniesiono. Starzy obaj patrzyli na siebie dość zimno: ale gdy po przebyciu nocy niebezpiecznej i wątpliwej, lekarze upewnili ich, że, jeżeli co nadzwyczajnego nie zajdzie, ranieni żyć powinni, zbliżyli się do siebie, podali sobie ręce, i kasztelan rzekł:

— Obmyli krwią swoją wspólne nasze krzywdy; darujmyż je sobie nawzajem i dziękujmy Bogu, który się nad nami zlitował.

Trzeciego dnia Juljan otworzył oczy przytomniej, a gdy ojciec się do niego zbliżył, zapytał cicho:

— Ojczel! gdzie mama?

Wtedy lekarz, uradowany, upoważnił pana Sułejewskiego, aby posłał po żonę, dodając, że nim przyjedzie, syn jego będzie mógł wytrzymać to wzruszenie bez niebezpieczeństwa. Poleciał więc Jan do Warszawy i we cztery dni potem stanęła przy łóżku Juljana matka, jakoś dziwnie zmieniona, że ją zaledwie mąż i syn poznać mogli. W ciągu tych kilku dni, które tam przebyła sama, ciemne jej i lśniące jeszcze włosy całkiem pobieleły.

We trzy tygodnie przywieziono Juljana do Warszawy; a w parę miesięcy później, choć bledszy, niż

był pierwiej, ale weselszy i bardziej rad życiu, przychodził znowu co drugi dzień na lekcje do Cesi, uprawiał jej ćwiczenia i wykladał o Aleksandrze Macedońskim.

Lekcje rysunków szły także swoim trybem przy niewyczerpanej rozmowie i śmiechu głośnym i serdecznym. Co niedziela i święto obiady, jak przedtem, nie ustawały. Słowem, wszystko w tem niewielkim kółku ludzi zacnych i kochających się odbywało się po dawnemu; tylko białe włosy na głowie matki świadczyły i przypominały, że przez życie ich przesunęła się okropna chwila, jak żelazo rozpalone po żywym ciele, która mogła być tę radość zamienić w płacz, a te gwarne rozmowy — w milczenie i cichość grobu.

Pan Wiktor, daleko ciężiej raniony, dłużej kurować się musiał, i nieprędko do zupełnego zdrowia powrócić spodziewał się. Zagrożono mu nawet, że zostanie zgiętym, ciągle pochylonym i straci tę okazałą postać, jaką miał dawniej. Niewiele go to obchodziło. Pragnął on tylko żyć, aby tkliwemi staraniami nagrodzić ojcu tę hańbę, jaka go z jego winy spotkała. Dziwnym trafem pan Wiktor zreformował się zupełnie. Wyrzekł się swoich przyjaciół, swoich przyjaciółek, szczerze przeprosił ciotkę, ona mu przebaczyła; siedział najczęściej w domu, a ile razy słyszał młodych, których jeszcze ówczesny prąd unosił, mówiących z lekceważeniem o wieku i jego słabościach, karcił ich i swoją im opowiadał historję.

Tak się wszystko skończyło, ale mogło się wcale inaczej zakończyć. O kilka linji na prawo, lub na lewo w kierunku kul, a jakieby były następstwa, to łatwo sobie wyobrazić. Dziś, na tej dolince, na której odbył się pojedynek, stoi dziękczynny pomnik, kosztem kasztelana Znońskiego wzniesiony, który znają okoliczni mieszkańcy, który odwiedzają ojcowie i tło-

50  
00

maczą jego znaczenie swym synom, i na którym w roku 1852 czytaliśmy między wieloma innymi nazwiskami, także nazwiska: Cecylii Sulejewskiej i Antoniny Zarzyckiej. Gdyby modlitwa tej matki, której włosy za trzy dni pobielaly, była mniej skuteczna, na owej dolince stalby dziś tylko krzyż drewniany, a imię biednej Cesi byłoby gdzieindziej, może na Powązkach, na białej tabliczce, co by nad jej mogiłą świeciła.



KONIEC.

70  
180  
18041

253091

Warszawa,  
Bracka 4

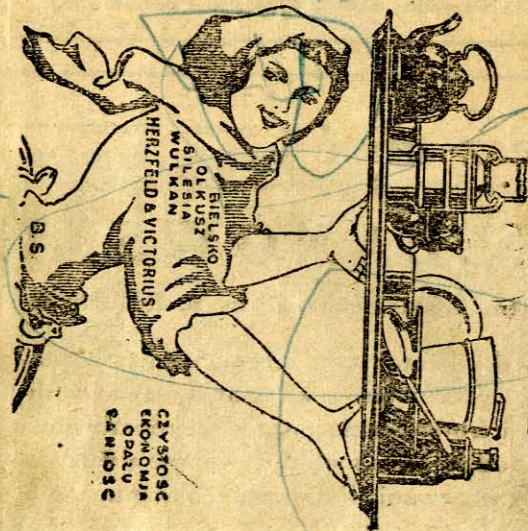
Wykwintne  
Meble  
Stylowe

CENY PRZYSTĘPNE.

## OD ADMINISTRACJI:

Listy do Redakcji i Administracji winny być krótkie, zwięzłe i treściwe oraz z dołączoną marką na odpowiedź, ponieważ tylko na takie listy odpowiadać będziemy.

Przy zmianie adresu uprzejmie prosimy przysyłać 50 groszy.



KUPUJCIE NACZYNNIA  
EMALLOWANE

**KURSA HANDLOWE** pod kierunkiem Ign. ...  
**WARSZAWA, ŻÓRAWIA Nr. 42**

nauczają zamlejskowych przez korespondencję.

**KURS I.** Buchalterja (księgowość) pojedyncza, podwójna (włoska), amerykańska, bankowa, rolnicza i fabryczna.

**KURS II.** Rachunkowość handlowa, korespondencja handlowa polska, nauka handlu, prawo handlowe i wekslowe.

**KURS III.** Stenografja polska, niemiecka, handl. oraz parlamentarna.

Opłatę uiszcza się ratami. Pospeky na żądanie wysyła Sekretarjat Kursów **DARMO**. Po ukończeniu świadectwo. Bezpłatne pośrednictwo pracy.

**Pani!** Zachowasz czarujący blask młodości, odzyskasz śliczną, fascynującą cerę, stosując codziennie znakomite wyroby:  
**RADIUM LENOIR Nr. 72.**

**KREM — MYDŁO — PUDER — OTRĄBKI.**

Sprzedają wszystkie składy apteczne i perfumy je.

**Chcesz mieć** w czystości utrzymywane mieszkanie, kantor czy biuro, korzystaj ze stałych usług firmy

**A. ELŻANOWSKI**

Warszawa, Górnośląska 20 m. 5, tel. 290-32.

Warszawski kantor czyszczenia okien wystawowych, wstawiania i kitowania szyb, cyklizowania i froterowania posadzek, reparowania linoleum, odkurzania mebli i dywanów elektrycznymi odkurzaczami. Pakowanie okien na zimę.

